Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Z polowania na zające. Photo-Plat.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 34 (810) 1 GRUDNIA 1935 R.



Fragment z pokazu trofeów w Poznaniu, otwartego w dniu 3 listopada 1935 r.

JĘZYK, CZY GWARA ŁOWIECKA?

Dobrze znany myśliwym całej Polski pisarz, bibljograf i bibljofil łowiecki, p. kpt. Józef Wł. Kobylański, ogłosił w r. b. prawie równocześnie dwie prace z zakresu terminologji łowieckiej. Pierwszą p. t. „Język łowiecki chlubą myśliwych, a skarbem narodu" zamieścił „Łowiec Polski", drugą, zatytułowaną „Polska gwara myśliwska", a będącą streszczeniem pierwszej, ogłosiły „Szpargały" — biuletyn bibljograficzny antykwarjatu K. Fiszlera i Syna w Warszawie.

Szkic mój zacznę od zastanowienia się nad tytułami tych dwu prac kpt. Kobylańskiego. Dlaczego w tytule pierwszej pracy, umieszczonej w „Łowcu Polskim", mowa jest o „języku łowieckim", a w drugiej — tej samej niemal treści, co pierwsza — o „gwarze" myśliwskiej? Czy stało się to przypadkowo? — Wątpię: kapitan Kobylański ma renomę zbyt sumiennego i zbyt wnikliwego pisarza łowieckiego, by można go było posądzić o dowolne operowanie terminologją... Wyrazy „język" i „gwara" posiadają znaczenie odrębne. Nie trzeba być naukowcem, by tę odrębność uchwycić.

Ogłaszając swój szkic w „Łowcu Polskim" i tem samem przemawiając do „wtajemniczonych", t. j. do bractwa myśliwskiego, autor musiał zdawać sobie sprawę, że, wedle własnych słów jego, „całą przeszłość naszą, upodobania wszystkich niemal królów, którzy tygodniami z lasów nie wychodzili polując, słyszymy i znajdujemy w mowie dawnych myśliwych". Myśliwy rozprawiał przed myśliwymi o najdroższym wspólnym skarbie — o tej „najmilszej symfonji, pełnej złotych tonów, wywołujących w sercach tęsknotę przebrzmiałych wieków, poszum bezkresnych borów, po których i ślad już nie został, rozgwar tysięcy ludzi, idących lasem obławą, jakby pospolite ruszenie"...

Czyż mówiąc o tym skarbie, o tej symfonji (którą jednak całą pełnią serca i umysłu tylko myśliwy pojąć zdoła) mógł autor urazić ucho kolegi myśliwego wzgardliwem nieco określeniem „gwara"? — Nie! I dlatego, ogłaszając swe studjum w czasopiśmie łowieckiem, dał mu tytuł „język łowiecki". Jednak, gdy ze szpalt „Szpargałów" przemówił do wszystkich bez wyjątku miłośników i zbieraczy książek i wszelkich osobliwości bibljograficznych, wśród których myśliwi mogą stanowić odsetek znikomy, nazwał język łowiecki — gwarą... Autor był konsekwentny: to co my myśliwi pielęgnujemy, lub przynajmniej — powinniśmy pielęgnować, jak skarb prawdziwy, jak najdroższą spuściznę, przekazywaną z pokolenia w pokolenie, to dla niemyśliwych będzie tylko jedną osobliwością więcej..... To, co skarbem jest dla nas, będzie „gwarą" dla niewtajemniczonych...

Nie wiem, czy odgadłem intencje Szan. Autora. Być może, że moja wykładnia jego intencyj jest błędna. Rozwiodłem się nieco nad tym pozornie drobnym problemem z innej racji. Nasunęły mi się mianowicie wątpliwości, czy nawet w gronie „wtajemniczonych", czy nawet w środowisku wielce ekskluzywnego bractwa myśliwskiego można poważnie starać się o to, by piękną wprawdzie, opromienioną najwspanialszemi reminiscencjami historycznemi, barwną i żywą, jędrną i plastyczną mowę myśliwych podnosić do godności „języka łowieckiego"? Język, czy gwara? Oto tytuł i temat skromnych moich rozważań. (Nawiasem mówiąc, zarówno Kobylański

w studjum swem, jak i cytowani przez niego autorzy nieraz używają wyrazów „język" i „gwara" jako synonimów).

W rozprawie swej daje Kobylański krótkie dzieje wysiłków ze strony nowszych i najnowszych pisarzy łowieckich nad uporządkowaniem, ugruntowaniem i rozpowszechnianiem wśród myśliwych odrębnej mowy łowieckiej. Od Wiktora Kozłowskiego, autora pierwszego słownika łowieckiego (1822) aż do Aleksandra Janta-Połczyńskiego, który w 1930 r. jednocześnie na łamach „Dziennika Poznańskiego" i wileńskich „Trąbek myśliwskich" walczył „O pomnik łowiectwa polskiego", — szereg autorów na przestrzeni całego stulecia boleje nad zanikaniem mowy myśliwskiej i lekceważeniem jej przez nowych myśliwych, tworzy „Pierwsze początki terminologji łowieckiej", w pocie czoła zbiera i gromadzi materjały do przyszłego słownika łowieckiego.



Z pokazu trofeów w Poznaniu. Parostki rogacza, ubitego przez p. J. Kullaka we wrześniu 1935 r. w maj. Napachanie pow. Poznań. (Srebrny medal).

Praca tych autorów godna jest prawdziwego podziwu i uznania. Mowa myśliwych — bez względu na to, czy nazwiemy ją językiem, czy gwarą, „użycza" — jak słusznie pisał cytowany przez Kobylańskiego Lucjan Siemieński: „poetyczniejszej barwy myślistwu, a języka ojczystego nie pozbawia dawnego bogactwa". Do słów Siemieńskiego dodałbym chyba tylko, że mowa łowiecka nietylko nie pozbawia języka ojczystego bogactwa, lecz przeciwnie — język ten wybitnie wzbogaca, dodaje mu wigoru i życia, czego dowodem są niezliczone przysłowia i powiedzenia, używane powszechnie w mowie potocznej, a zapożyczone z dziedziny myślistwa. „Język myśliwski, niezwykle bogaty i oryginalny, obfitujący w piękne a obrazowe zwroty i wyrażenia" (Bohdan Dyakowski), ma w sobie dla zmysłów myśliwego i woń i barwę. Pachną w nim żywiczne bory, pachnie rozgrzany na spiekocie „bahun", pachną wynurzające się z topieli rozlewisk bezkresne kobierce bursztynowych kaczeńców... I grają w nim symfonje kolorowe wschodów i zachodów, malują się dyskretne tony jesiennych pejzaży, bielą się twardym, nieprzytulnym chłodem zimowe „wnętrza" ośnieżonych puszcz... A gdy do tych czarów dodamy jeszcze słuszne słowa Konrada Machczyńskiego: „po wyrażeniach łowieckich myśliwi poznawali się wzajemnie i w tym języku porozumiewali się między sobą" — tedy zrozumiemy, że mowa łowiecka ma nietylko znaczenie metafor poetyckich, lub terminów technicznych, lecz że stanowi ona ponadto prawdziwy „język wtajemniczonych", co nadaje jej specjalnego uroku tajemniczości. Uroku tego nie zrozumie i mowę łowiecką wydrwi tylko myśliwy nieprawdziwy, polujący ze snobizmu, lub z nakazu mody.

Toteż raz jeszcze przyklasnąć należy tym wszystkim, co nie szczędzą trudów i mozołów często niewdzięcznych, by mowę łowiecką uratować, utrzymać, utrwalić i rozpowszechnić. Żadna z dziedzin działalności ludzkiej nie jest tak związana z przeszłością, jak łowiectwo. Łowiectwo, prawdziwe łowiectwo nie lubi t. zw. aktualności. Łowiectwo wtedy jest piękne, gdy, stanowiąc najmilszą osłodę teraźniejszości, tkwi jedną nogą w przeszłości. Dawność i tradycja są istotnemi atrybutami prawdziwego myślistwa. Toteż jedną z najpilniejszych potrzeb naszej kultury łowieckiej jest stworzenie możliwie najkompletniejszego słownika wyrazów myśliwskich.

A jednak i dawniejsi i obecni bojownicy „języka łowieckiego, chluby myśliwych" grzeszyli i grzeszą — przesadą, zawsze szkodliwą przedewszystkiem dla sprawy, o którą się walczy.

Strzedz czystości polskiej mowy łowieckiej — słusznie! Tworzyć słownik łowiecki — chwalebnie i pięknie!... Ale czy nie przesadza trochę szanowny i kochany kapitan Kobylański, gdy nas poucza imperatywnie: „sarna nie ma żadnych rogów, a tylko parostki, dzik nie ma krwi, lecz ma posokę, wilk nie ma łba i oczu, lecz ma latarnię i lampy, borsuk bywa sadlisty, lecz nigdy tłusty... I czy wszyscy najprawdziwsi myśliwi wiedzą, że „chłyst" to pojedyncza sztuka jelenia, że na kresach wschodnich (?) starego odyńca nazywają „kapelusznikiem", że „liniak" to liniejący... zając w porze letniej". Daruje mi kochany pan kapitan, gdy mu powiem, że wszystkie przytoczone wyżej, a wymienione przez niego wyrazy myśliwskie albo już dawno umarły i mają znaczenie czysto historyczne (gdyż, jak wiadomo, choć sam język żyje wiecznie, to jednak poszczególne jego wyrazy rodzą się, starzeją i umierają), albo mają charakter regjonalny i w olbrzymich połaciach naszego kraju nie są używane, albo są tak dalece lokalne, że nawet w poszczególnych powiatach tego samego regjonu nie są znane. Śmiem twierdzić, że wyraz „parostki" nietylko nie ma prawa obywatelstwa na ziemiach północno-wschodnich, nietylko jest dla większości naszych starych łowców tutejszych niezrozumiały, lecz wręcz razi ich ucho, jak raziła nasze ucho niefortunna, dziś już dzięki zabiegom dr. Ziembickiego niesławnie pogrzebana „siuta". Również żaden z szanujących się myśliwych kresowych nie nazwie krwi dziczej „posoką", lecz poprostu krwią. Co do wilka ciekaw byłbym usłyszeć zdanie Maurycego hr. Potockiego oraz prezesa Bolesława Świętorzeckiego, którzy mają opinję pierwszych w Polsce „wilczarzy": czy słyszeli Oni, by którykolwiek ze starych myśliwych kresowych nazywał łeb wilka „latarnią", a oczy „lampami"?... „Chłyst" w uszach myśliwych, znających język rosyjski i stosunki rosyjskie, zabrzmi dziwnie: nikt z takich myśliwych napewno się nie domyśli, że wyraz ten oznacza również pojedynczą sztukę jelenia... Urodziłem się na kresach wschodnich i tu bez przerwy poluję od lat trzydziestu, a jednak dopiero z artykułu Kobylańskiego dowiedziałem się, że na tych kresach nazywają starego odyńca „kapelusznikiem": nie twierdzę, by wyraz ten nie był używany w jakiejś

części ziem wschodnich, wszakże w całości tych ziem nie jest znany... Najniefortunniej wypadł „liniak", który — jak kresy długie i szerokie — oznacza liniejącego cietrzewia (zwanego też gdzieindziej „wypiórem"), lecz nigdy zająca!..

Powyższe wywody mogą się komuś wydać zbyt drobiazgową „krytyką", zakrawającą na zrzędzenie zawodowego malkontenta, uporczywie szukającego dziur na całem. Nic podobnego!

Dla pracy kpt. Kobylańskiego jestem z całem uznaniem: sumiennie i bezstronnie zebrał on i przytoczył garść wyrazów myśliwskich. Zapomniał jeno, że mowa łowiecka nie jest językiem, lecz gwarą i w przeciwieństwie do języka jest wielce zmienna w czasie, a zwłaszcza w przestrzeni. Co kraj, to — wyraz... „Liniak" na kresach oznacza tylko liniejącego cietrzewia, natomiast tenże wyraz w innej części kraju może oznaczać zająca... Mutatis mutandis możemy to samo powiedzieć o wielu innych wyrazach łowieckich.

W pracy swej cytuje Kobylański ciekawy i oryginalny „Wiersz terminologiczny" Brunona hr. Kicińskiego. Wiersz ten jest poprostu naszpikowany wyrazami gwarowemi. Przeczytałem go z ciekawością, ale i ze wstydem, gdyż conajmniej połowy wyrazów gwarowych nietylko nie zrozumiałem, lecz nawet nie domyśliłem się ich znaczenia... Jeżeli życzenie naszych terminologów łowieckich, by myśliwi rozmawiali między sobą wyłącznie w języku myśliwskim, brać dosłownie, to chyba lektura czasopism łowieckich będzie się odbywała ze słownikiem gwary myśliwskiej pod ręką, a i na polowaniach zbiorowych słownik taki w torbie zawadzać nie będzie... A co się stanie, jeżeli potulne dotąd Kresy Wschodnie obrażą się za narzucanie im obcej dla nich gwary i zaczną swoją gwarę myśliwską innym dzielnicom narzucać?

Żart jednak na stronę... U kilku bardzo poważnych, bardzo kulturalnych i bardzo znanych myśliwych naszych zaobserwowałem pewną cechę. Cecha ta rzuca ciekawe światło na poruszoną kwestję praktycznego stosowania gwary łowieckiej w codziennem życiu myśliwskiem. Oto myśliwi ci jakgdyby rozmyślnie unikają wyrażeń gwarowych, choćby się znajdowali w gronie wyłącznie myśliwskiem. O wieńcach, rosochach i parostkach mówią poprostu „rogi", o farbie i posoce — „krew", o lisiej kicie i wilczej wiesze — „ogon", o zajęczych słuchach i skokach — „uszy" i „nogi" etc. Myśliwi ci znają dokładnie gwarę myśliwską, a jednak przeważnie unikają jej w rozmowach. Dlaczego? Skromnem zdaniem mojem dlatego, że gwara myśliwska pomimo wszystkich walorów lingwistycznych, folklorystycznych, historycznych i poetyckich (zwłaszcza poetyckich!), jest nieco pretensjonalna, jest do pewnego stopnia i w użyciu na codzień „biciem na oryginalność" — czego naprawdę kulturalni i naprawdę subtelni ludzie nie znoszą [*]).



Przy paśniku. Fot. dr. J. Podgórny

Studjujmy gwarę myśliwską, notujmy i rejestrujmy oryginalne wyrazy łowieckie, odchwaszczajmy mowę łowiecką z barbaryzmów, gromadźmy materjały do przyszłego Słownika Polskiej Gwary Myśliwskiej, ale — nie przesadzajmy.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

ZA CENĘ STRZELBY.

Od najmłodszych lat miał w sobie żyłkę złodziejską, rozwijała się w nim stopniowo i z wiekiem przybierała na sile. Kto wie, czy przyczajone na dnie duszy mordercze instynkty nie byłyby go pchnęły na drogę zbrodni, lecz stałe obcowanie z naturą odsunęło na dalszy plan człowieka. Terenem jego zainteresowań stał się las, gdzie się urodził i wzrastał, jak dziczka. Ludzi widywał rzadko, czasem ktoś przyszedł z leśników, dawnych znajomych ojca, czasem coś go ciągnęło, by na skraju lasu przysiąść i czatować na stalowego smoka, który pędził, buchając parą, ze zgrzytem i świstem — czasem chodził na jarmark do Sarn, do Kostopola. Odległości nie istniały dla niego, przemierzał wszerz i wzdłuż lasy bez zmęczenia, zwinnie i lekko, jak zwierz dziki.

Wyprawy jarmarczne miały dla niego określony cel — zdobycie cudzej własności. Robił to z wielką precyzją i namysłem: „brać tylko to co potrzeba" — szeptał, kryjąc chytre oczy lisa pod nasuniętym kaszkietem. „Słonina dobra do wszystkiego, bez soli żyć nie można, na zimę buty trzeba, zdałby się jakiś kożuch, albo świta". Przemykał się między wozami niepostrzeżenie, krył się w cieniu rozpiętych straganów, kluczył wśród falującego tłumu. Dziwna rzecz — tylko pieniędzy nie kradł. Jego pierwotny instynkt leśnego człowieka kazał mu zdobywać coś innego, niż pieniądz, którego rzeczywistej wartości nie umiał sobie uzmysłowić. „Za pieniądze od drzew jadła nie kupić, zwierza pieniądzem nie zamanisz — a od człowieka lepiej uciekać" — rozumował.

Na pierwszy rzut oka w chacie był głód i nędza: zwyczajna kurna wołyńska chata o jednej izbie, z powybijanemi oknami, zaklejonemi papierem i gałganami; w sieni też pusto, żadnej beczki, lub sprzętu, świadczącego o zamożności domu. Ale ktoby bliżej przyjrzał się temu gospodarstwu, wiedziałby, że tu często odbywają się uczty królewskie.

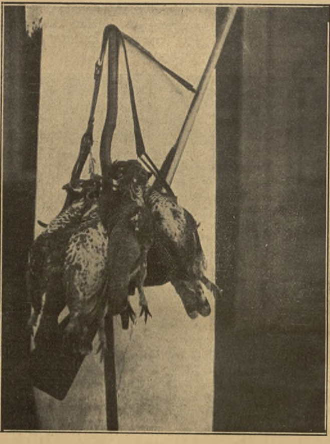
Dla Stepana cały las był zasobną śpiżarnią, niedostępna dla innych knieja płaciła wysoki haracz swemu łupieżcy. Władcą tu był samodzielnym, okrutnym i mściwym. Znał swoich poddanych i gnębił ich, dojrzał każdy trop. Na nic się nie zdały zabiegi matczyne, by go odciągnąć od gniazda, znał ścieżki cietrzewi, każde odarcie kory było dla niego znakiem, gdzie szukać rogacza, patrzył pilnie na zrytą ziemię, czy gdzie dziki nie szukały pożywienia, wszystko zauważył, lecz największą pasję miał do sarn — była to jego namiętność życiowa. Te oczy łzawe ciągnęły go nieprzepartą siłą, szukał i tropił sarny z coraz to większym uporem i jakąś dziwną tęsknotą. Jedynem wyzwoleniem od tego gnębiącego uczucia — był mord.

Szkody w lesie czynił coraz to większe: najsmuklejsze sosny ścinał, sidła zastawiał, miód z leśnych barci wybierał, a gdy na wiosnę brzozy sokiem płaczą, rany głębokie w białej korze nacinał. Odgrażali się leśnicy, a żaden złapać go nie mógł. Zresztą bali się go też trochę, z takim królem kłusowników niebezpiecznie zaczynać, a wiadomo było, że broń ma.

Z dobrego był nawet gniazda, dziad i ojciec byli leśnikami, odziedziczył też po nich trochę ziemi, my-

[*]) Znany feljetonista Z. Nowakowski w swym zbiorku „Dzwonek niedzielny" nazywa gwarę myśliwską „na swój sposób kabotyńskim żargonem". Tym zjadliwym słowom nie można, zdaniem mojem, odmówić pewnej dozy słuszności. *(Przyp. aut.)*

śliwski rynsztunek i znajomość kniei. Dziwne krążyły o nim legendy, że strzelby ma w każdym rewirze, że zwykłe oko ludzkie kryjówek tych nie wytropi, bo na to trzeba być czemś więcej, niż zwykłym człowiekiem. Wiadomo, są tacy, z którymi „złe" trzyma i pomaga. Nikt też nigdy nie widział Stepana z bronią w ręku, czasami padał strzał tak blisko, że zdawało się — o parę kroków jest winowajca... Jeszcze dymek się snuje w powietrzu, a tu po drodze idzie sobie spokojnie Stepan z kosą na ramieniu i uśmiecha się drwiąco.



Jarząbki, upolowane z wabikiem. Fot. A. Zawadzki.

A wieczorem podejdziesz do chaty, ogień bucha na kominie, ulatują smakowite zapachy pieczeni z dziczyzny; wejdziesz do izby — Stepan z matką suche kartofle jedzą. Ale byli tacy, co wiedzieli, że Stepanowi ludzkim sposobem rady nie dać, bo był „naznaczony", wiedziała o tem baba znachorka, która asystowała przy jego urodzeniu. Miał na prawem ręku, powyżej łokcia, znak czarny, jak ze smoły: ni to głowa ludzka, ni to zwierz z rogami. Na takiego, wiadomo, nawet urok nie działa; spluwali ludzie, mówiąc o tem.

Leśnikom wyznaczono nagrodę za złapanie Stepana na kłusownictwie, wszyscy o tem wiedzieli, a nikt nic dowieść nie mógł; choć biedny, ale był gospodarzem. Miał kawałek pola, grunt marny, podmokły, gniły na nim kartofle, tylko łąka była piękna; takiego siana, jak z tej łąki, nie dostać w całej okolicy. Prócz nędznego konika, tak małego, jak pies, miał też gończaka, ale go leśnicy zastrzelili. Polował więc sam, poco mu był pies — „złe" z nim robiło nagankę, czasami cały las rozbrzmiewał głosami, jakby cała sfora psów pędziła, słychać było miarowy gon, a za chwilę już nic, tylko drzewa szumią, a brzoza płacze złotemi łzami.

Wiosna tego roku była późna, przednówek trwał i trwał, nawet dzikie ptactwo kryło się po błotach, toki cietrzewi i głuszców były bardzo słabe. Wzdychali ludzie do wiosny, wszędzie był głód, kartofle kończyły się. I Stepanowi było ciężko. Poszedł na jarmark, ale tylko chustkę matce przyniósł, taka była bieda, że nawet kraść nie było co.

Tego dnia jeszcze mgła stała nad lasem i słońce ledwo sączyło swe złociste promienie przez szary świt, gdy Stepan wyruszył. Powiedział matce, że jedzie po siano. Spojrzała mu w oczy i skinęła głową. Garnki wyszorowała piaskiem i czekała cierpliwie, wiedziała, że syn nie wróci z pustemi rękami. Dzień wstał i trwał cały mokry od łez, przemknął się szarym tumanem zmrok i zrobiła się noc. I wtedy czujne ucho pochwyciło głos, skrzypnęły koła wozu, wjechał do szopy, słychać było ciche parskanie konia i wtem, nagle, rozległ się jakiś głuchy trzask i krzyk bólu przeszył powietrze.

W drzwiach chaty, oświetlony krwawym blaskiem, padającym od ognia, stał Stepan, słaniał się, prawa ręka zwisała mu bezwładnie, czerwone sznurki krwi płynęły na buty i ziemię, coś bełkotał sinemi wargami, oczy stawały mu kołem. Drugą ręką podpierał się na strzelbie. Ten widok najbardziej przeraził matkę Stepana. Patrząc na broń, zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa; w chacie tej nigdy nie było strzelby. Rzuciła się ku niemu, zwisł jej z rąk bezwładnie, jak łachman, dubeltówka z łomotem upadła na ziemię, po lufie popełzł czerwony blask krwi. Ułożyła go na ławie, czapka spadła na ziemię, włosy miał zlepione potem, jęczał i wił się z bólu, oczy miał zamknięte, a gdy je otworzył, zobaczyła w nich mękę konania. Lecz nie — przeszły niespokojne, obłędnie drgające, po całej izbie i zatrzymały się na ziemi, na strzelbie i wtedy z gardła wydarł się bełkot. Mocował się długo, aż wreszcie zaczął szeptać z trudem: „Trzeba schować tę strzelbę, przynieść z lasu najgorszą, matka wie gdzie, z najdalszego rewiru, musi tu być na rano, strach żeby kto nie przyszedł". Głos zamierał i cichł, twarz mu bladła, jak opłatek, na ziemię kapała krew. Zdarła z głowy chustkę i co miała szmat, zaczęła mu obwijać koło ręki. Leżał cicho, bez ruchu — zemdlał. Za chwilę otworzył znów oczy, zdało się jej, że umiera: „Co tobie, krzyknęła, kto strzelił do ciebie?" „Ja sam, wyciągałem strzelbę z siana, ubił kotną sarnę" i nagle siadł na ławie, oczy mu nabiegły krwią, trząsł się, tylko kły, jak u wilka, błyskały mu z za sinych warg. „Poszła do lasu, suko", zacharczał. „Umrzesz synku", załkała. „Poszła, wrzasnął, chcesz żebym zgnił w turmie i najlepszą strzelbę stracił?" Ten argument przeważył.

Schwyciła broń i wybiegła z chaty w czarną noc.

Ranek już świtał, gdy skrzypnęły drzwi. Spełniła polecenie syna, w rękach niosła coś zawiniętego w chustkę, pieczołowicie, jak dziecię. Łuczywem oświetliła twarz syna, była sina, z czarnych, spieczonych warg, wydzierał się świszczący oddech. „Schowałaś dobrze, masz starą?"—zamruczał. Opowiadała mu wszystko, przykładając wargi do samego ucha. Była straszna, siwe włosy zwisały w nieładzie, twarz miała podrapaną, spódnicę podartą, chustę w strzępach. „Dziękuję, matko, nie dostaną jej, prędzej zdechnę", wyszeptał i coś, jakby cień uśmiechu, przewinął mu się po twarzy. „Daj znać Makarowi, do szpitala wieźcie" — opadł, głowa mu zwisła bezwładnie. Z krzykiem rzuciła się do drzwi, teraz dopiero miała prawo myśleć o ratunku syna.

Zabrali Stepana do szpitala, rękę odcięto mu do ramienia. Ból znosił z jakąś dziwną zaciętością i spokojem. W nocy tylko majaczył i rzucał się, wydawało mu się, że ze wszystkich stron widzi łzawe oczy sarn, że suną w stronę kryjówki, gdzie schowana jest strzelba, więc zrywał się i krzyczał: „Nie oddam, — ubijcie, nie oddam!" Pewnej nocy, zerwał się i cicho, jak duch, przemknął po schodach, lewą ręką otworzył drzwi i przepadł w mroku nocnym.

Na drugi dzień, znaleziono go nieżywego na drodze, o kilometr od szpitala. Czy chciał dotrzeć do leśnej kryjówki, gdzie w dziupli ukryta była strzelba, czy uciec przed własnem sumieniem? Któż wie?...

ZOFJA LIPKOWSKA.

KOCIOŁ, PĘDZENIE, CZY ŁAWA?

Artykuł p. Br. Adamowicza („Łowiec Pol." Nr. 31) p. t. „Troska o zwierzostan a polowanie w kotłach" skłonił mnie do zabrania głosu na powyższy temat, należę bowiem do grupy myśliwych, zwalczających „uparcie i namiętnie" (jak pisze p. Adamowicz) polowanie w kotły. Pan Adamowicz opisuje polowania na rozległych terenach kresowych, gdzie można robić kotły, w których myśliwy od myśliwego idzie o 300 kroków, pomiędzy myśliwymi zaś tylko 2-ch naganiaczy. To jest możliwe tylko na Kresach, u nas bowiem właściciel 30—40 włókowego folwarku, robiąc polowanie, musiałby cały swój teren wziąć w jeden kocioł. Po upływie ½ godziny czasu polowanie byłoby skończone.

Przeciwko takim kotłom nikt nie będzie protestował. Ogromny kocioł, ogromne luki, więc zając ma dużo szans, by wyjść z kotła bez strzału. Weźmy jednak, jak to się poluje w kotły w centralnych województwach: 120 naganki, 12-tu myśliwych — biorą w kocioł 150—200 morgów; naganiacz od naganiacza idzie o 20 kroków. Czy może z takiego kotła wyjść choć jeden zajęczyna niestrzelany?

Wyjdzie, ale jeden z przetrąconą nogą, drugi ze śruciną w płucu, trzeci z wystrzelonym okiem i t. d.

To jeden „plus" polowania w kotły. Ani jeden zając nie wyjdzie niestrzelany i moc zajęcy rannych ginię potem w męczarniach, trawione nieraz przez kilka dni gorączką.

Iluż to jest myśliwych, że się tak wyrażę „chciwych" na tego biednego zająca i żądnych „królestwa", którzy tak różnie, a charakterystycznie „kombinują" w kotłach. Chyba każdy z nas słyszał o tak zwanym sposobie nawracania zajęcy do siebie. Idzie w kotle zając-defilator na 150 kroków, trzeba go sobie zawrócić, wali się więc raz na 3 metry przed zająca; zając zawraca — wali się drugi raz przed niego; znów zawraca, wkońcu strzeli się do niego na 100 kroków, przetrąci się nogę, lub wsadzi kilka śrucin w comber, na poprawienie z drugiej lufy już jest „za daleko". Zając więc kulawy, zgarbiony, ledwo kica do środka kotła.

Schodzi się kocioł, nasz biedak ranny przywarował. Oczy na wierzch mu wyłażą ze strachu, ból straszny dokucza w ranach. Nagle głos: „Naganka do środka". Naganka z wrzaskiem rzuca się na okrwawionego zająca i wali go kijami. Chwytający za serce, przedśmiertny krzyk zająca i śmiechy rozbestwionego naszego ludku z naganki — to drugi „plus" polowania w kotły.

A etyka myśliwska?... Już nie względem zajęcy, ale względem kolegów myśliwych.

Polowanie jest zabawą dla wszystkich uczestników, na każdem jednak polowaniu znajdzie się (daj Boże, by był tylko jeden) myśliwy, który zrobi lukę na 120 kroków. Naturalnie wszystko idzie na niego, on strzela na niemożliwe mety i kaleczy tylko, reszta zaś myśliwych robi na tego jednego pędzenie. Inny zrobi „gruszkę" — odetną go. Ten idzie za prędko, ów za wolno — spory, uzasadnione i nieuzasadnione pretensje i t. d. To trzeci „plus" kotła.

Jaka korzyść z polowania kotłami? Ja, niestety, widzę tylko ujemne strony. Bo w to, że samice twardziej dotrzymują, niż samce, nie mogę bardzo uwierzyć i przypuszczam, że może p. Adamowicz, badając płeć, pomylił się czasem — każdy człowiek jest omylny; wręcz przeciwnie bowiem twierdzi p. Freder w Nr. 39/1935 „Wild und Hund", przedruk w „Łowcu Pol." Nr. 30 z 20.X.35 r.

Weźmy teraz zkolei pędzenie. Pędzenie jest i będzie zawsze lepsze od kotła, nie dlatego, że się siedzi na stołku i czeka aż przykica zając, (jak pisze p. Adamowicz), lecz dlatego, że co się przedrze przez nagankę, wychodzi zdrowe i nie ginie potem w męczarniach. Zgadzam się najzupełniej z p. Adamowiczem, że strzały w pędzeniu są łatwiejsze, ale przez to, że są łatwiejsze, że strzela się na bliższe mety, mniej się kaleczy zwierzyny, jest większa czystość strzałów, a to jest bardzo ważne. Niema przy pędzeniu tylu postrzałków, co przy kotle, które zgarbione, zbolałe, resztką sił chcą unieść resztki swego życia.



W ogniu. Fot. St. Steliński.

Podczas wojny nieraz byłem z podjazdem okrążony przez bolszewików i może dlatego wczuwam się w sytuację biednego zająca, zamkniętego w kotle.

Uprzytomnijmy sobie taki wypadek, że przychodzą jakieś wielkoludy, większi od nas o tyle, ile my jesteśmy większi od zająca; biorą nas w kocioł i rżną śrutem z armat. Miła sytuacja, nie do pozazdroszczenia. Jeżeli zając ma zginąć od strzału, to czemu nie oszczędzić mu tego szalonego strachu, jaki ma przy polowaniu w kotle.

Myśliwi, którzy nie lubią stać na stanowisku, a są tak wysportowani, że lubią dużo ruchu, mają też wyjście, polując ławami. Mojem zdaniem, pędzenie i ława to jedyne sposoby polowania u nas. Jeśli weźmiemy Kresy, gdzie jest mniej zwierzyny, to przecież nic chyba nie zastąpi polowania z gończemi; ani pędzenie, ani kocioł, ani ława nie mają tego uroku.

Do twierdzenia tak miłego i dobrego myśliwego, jakim jest p. K. Komierowski: „polujmy, jak kto chce, byle etycznie" dodałbym trzy słowa: i aby nie w kotły.

Zresztą poruszony przez panów Adamowicza i Komierowskiego temat jest bardzo ciekawy, łamy „Łowca Polskiego" otwarte są dla myśliwych, a ciekawem będzie, co ma więcej zwolenników kocioł, ława, czy pędzenie i co jest lepsze dla naszych zwierzostanów?

MICHAŁ ABRAMOWICZ.

WŁADYSŁAW GÜRTLER*).

(Srebrne gody pracy łowieckiej).

Są rocznice, są jubileusze, o których trudno nie mówić i nie pisać. Do takich rocznic należą bezwzględnie srebrne gody, jakie w tym roku przypadły w udziale profesorowi Gürtlerowi. Wskazują one, ile można zdziałać na pewnem polu pracy społecznej, gdy stało się ono naszem umiłowaniem i ośrodkiem wszystkich naszych myśli, dążeń i upodobań. Szczególnie jeśli chodzi o takie pole pracy społecznej, jak rozwój łowiectwa i piśmiennictwa łowieckiego w naszym kraju, to przyznać trzeba, że niwa ta nie należała i nie należy do wdzięcznych. W społeczeństwie bowiem naszem panują naogół bardzo mętne jeszcze pojęcia o zadaniach łowiectwa. Dla znacznej większości polskiego ogółu schodzi ono do roli miłego, obfitującego w mniejsze lub większe przygody „polowanka". Ba, gorszem jest to, że większość „myśliwych", t. j. tych, którzy polują tylko, nie interesują się ani zagadnieniem rozwoju zwierzostanu, ani jego ochroną, ani racjonalnem polowaniem, ani łowieckiemi pismami i wydawnictwami i t. d.



Prof. Wł. Gürtler z gołębiarzem, którego wyjął z samotrzasku. Samotrzask, w który wiele gołębiarzy złapał, jest konstrukcji a poniekąd i roboty prof. Gürtlera.
Fot. hr. Stadjon-Rzyszczewski.

25 lat pracy dla idei wśród wielkiego morza obojętności — to spory szmat czasu, to praca po grudzie i kamieniach. 25 lat nieprzerwanej pracy, to w świecie łowieckim zdarzenie niepowszednie, godne uwagi. Praca prof. Gürtlera szła w dwóch kierunkach: dokoła rozwoju stosunków łowieckich i na polu piśmiennictwa łowieckiego.

Przejdźmy przelotnie do tej pierwszej działalności. Pracując przez lat 25 na terenie jako delegat, niósł prof. Gürtler wysoko zielony sztandar, zwalczając konsekwentnie wszelkie przestępstwa i złe obyczaje myśliwskie. Tępił nietylko samo kłusownictwo, ale plenił także wszystkie ujemne w rozumieniu etyki, kultury i moralności łowieckiej pociągnięcia ulegalizowanych myśliwych, zmierzające do niszczenia zwierzyny. Własnym przykładem, nauką, żywem słowem, jako członek i sekretarz towarzystw łowieckich, wreszcie słowem drukowanem szerzył zasady prawidłowego łowiectwa wśród najszerszych sfer myśliwskich. Toteż dzisiaj nikt przy zasłużonym Jubilacie nie strzeli w lesie do rogacza śrutem, nikt nie wybija w kotłach zajęcy do ostatniej sztuki, nikt nie ustanawia rekordów kuropatwich. Jako delegat, zjednywał nowych prenumeratorów dla obu „Łowców", aby „dzicy" myśliwi ucywilizowali się, zaczerpnęli wiedzy myśliwskiej, zetknęli się z kulturą łowiecką, a nadewszystko poczuli się do obowiązku popierania polskiej fachowej prasy.

Pracując na Wołyniu w latach 1916 — 1918 na stanowisku zgoła wyjątkowem, gdy jako wojskowy inspektor szkolny, w stopniu najpierw porucznika, a później kapitana, budził do życia zamarłe tam od wieku szkolnictwo polskie, nie zapomniał także o uregulowaniu tamtejszych zagmatwanych stosunków łowieckich. On dał inicjatywę, a następnie współpracował wybitnie w zredagowaniu okupacyjnej ustawy łowieckiej **). Wspomnienia o tem ogłosił prof. Gürtler w „Łowcu" Nr. 21 z 1933 r. p. t. „Okupacyjne prawo łowieckie na Wołyniu" oraz w „Łowcu Polskim" Nr. 3 z 1934 r. p. t. „Cztery strzały".

Pozwolą mi czytelnicy na małą dygresję. Chcę kilka słów poświęcić wspomnianej pracy na Wołyniu, która znalazła wielkie zrozumienie i poparcie ze strony komisarza cywilnego przy komendzie byłej IV-ej armii austriackiej, p. dr. Henryka Krupskiego. Reszty dokonał Gürtler sam, dzięki znajomościom z wysokimi dygnitarzami wojskowymi, z którymi stykał się dość często na urządzanych dla nich polowaniach i na przyjęciach popolowaniowych, wydawanych na prośbę Gürtlera przez tamtejszych ziemian. Mógł to czynić, będąc referentem łowieckim przy wspomnianej komendzie. Mimo czynionych mu trudności ze strony niektórych sztabowców niemieckich oraz całego parlamentarnego klubu ukraińskiego w Wiedniu, który domagał się usunięcia Gürtlera z Wołynia, wytrwał on przecież na tem wybitnie politycznem stanowisku do 3 listopada 1918 r., przeprowadzając swój program. Owoce jego pracy były wspaniałe: około 100 szkół z polskim językiem nauczania, wzorowo urządzonych i prowadzonych przez znakomitych nauczycieli wojskowych, 50 bibliotek gminnych, 30 kursów dla analfabetów, liczne teatry amatorskie i t. d. — oto rezultaty pracy jednego człowieka, owianego duchem szczerego patriotyzmu. A uzmysłowić sobie należy, że to wszystko odbywało się pod frontem, pod balonami na uwięzi, wśród rozmaitych formacyj bojowych, przy huku armat, grających wzdłuż Stochodu.

Przy tak wytężonej pracy nad szkolnictwem, znaleźć jeszcze czas na organizacje tamtejszego łowiectwa, równie zaniedbanego, dzikiego i wojennego — to zaiste rzecz godna ze wszech miar uznania, to dowód, jak głęboko i silnie zapadło w serce dzisiejszego Jubilata ukochanie łowiectwa. Czas tej pracy oświatowej i łowieckiej na terenie wołyńskim, to bodajże najpiękniejszy okres Jego życia, o którym nietylko Jubilat wspomina, ale mówi o tej pracy po dzień

*) Delegat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na powiat rzeszowski, odznaczony Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej. *(Przyp. aut.).*

**) Wyszła w druku 10.X.1918 w „Instruktion für den Verwaltungsdienst im K. u. K. Verwaltungsgebiete Wolhyniens". *(Przyp. aut.).*

dzisiejszy wołyńska Polonja, tamtejsi ziemianie i myśliwi.

Zkolei przejdźmy do zasług prof. Gürtlera na polu literatury i piśmiennictwa łowieckiego. W dorobku swoim ma On ponad sto artykułów, ogłoszonych w pismach fachowych i prasie codziennej. W artykułach tych porusza Autor z prawdziwem znawstwem najróżnorodniejsze przejawy życia łowieckiego. Są tu przedewszystkiem głęboko ujęte sprawozdania łowieckie, obszerne i wyczerpujące, bowiem prof. Gürtler nie był nigdy nominalnym, ani malowanym delegatem, tylko ten zaszczytny, a o doniosłem znaczeniu urząd pełnił zawsze, aż po dziś dzień, sumiennie i gorliwie, z niesłabnącym, iście młodzieńczym zapałem, świecąc przykładem niezwykłej pracowitości i oddania się drogiej idei. O Nim śmiało powiedzieć możemy, że, jako delegat, znał doskonale stosunki łowieckie w swoim powiecie. Znajomość ta stała się fundamentem Jego pozytywnej pracy w tej dziedzinie.

Dalej rozróżniamy prace naukowe, dotyczące ornitologji, szczególnie drapieżników. Widzimy recenzje i artykuły dyskusyjne. Są też rozprawki historyczne, a pierwszą z nich była praca, napisana z okazji zjazdu grunwaldzkiego w Krakowie 1910 r. p. t. „Jagiełło na łowach", ogłoszona na łamach „Łowca", a powtórzona w „Łowcu Polskim".

Wśród prac łowieckich, ogłoszonych drukiem, znajdujemy poza prozą, także i poezję (głównie sonety), w której Autor, przenikliwy obserwator Bożej przyrody, zamknął umiejętnie piękne obrazy z natury oraz wiele umiłowania, uczucia i serca. W sonecie karpackim dobranemi farbami tak maluje Autor:

„Już między Karpat szczyty ranne mkną obłoki,
Słońce złoci skał złomy i jodeł konary,
A rzuciwszy promienie w leśne zbocza mroki,
Wypłasza pozostałe jesienne opary".

W wierszu p. t. „Słońcu w pokłonie" oddaje Jubilat wiernie tak dobrze znany myśliwym ranny obrazek z toków cietrzewich:

„Na otulonej mgłą poranną łące
Rycerski cietrzew rozpoczyna harce,
I on wpatrzony w ubóstwiane słońce,
Śpiewa pieśń szału swej wybranej starce".

Ramy „Łowca Polskiego" nie pozwalają na podanie chronologicznego zestawienia dorobku literackiego naszego Jubilata za lat 25 jego ideowej pracy. Pisywał On na łamach „Łowca", „Łowca Polskiego", „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" oraz „Kalendarzy Myśliwskich". Poza tą pracą, ściśle fachową, znajdujemy sporo artykułów w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym", „Słowie Polskiem" i innych.

Wspomnieć tu należy, że artykułami o myślistwie króla Batorego zainteresował się z okazji jubileuszu tego króla w 1933 roku prof. dr. Bittey Arpad z Siedmiogrodu, prosząc o podanie źródeł. Możliwem jest, że artykuły te przetłomaczono na język węgierski.

Jako wydawnictwa książkowe wyszły:

1) Obrazki myśliwskie (z rycinami), Lwów, 1917. Jest to Nr. 105 Bibljoteki Macierzy Polskiej. Całkowite wyczerpanie nakładu było przyczyną drugiej, zmienionej i rozszerzonej edycji, której dokonała Macierz Polska we Lwowie 1928 r. Tym razem bez rycin.

2) Nasze skrzydlate drapieżniki (gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny), Warszawa, 1925 r. Praca ta wyszła nakładem Myśliwskiej Spółki Wydawniczej jako tom IV Bibljoteki Myśliwskiej „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

3) Towarzystwo Myśliwych w Rzeszowie (W pięćdziesiątą rocznicę powstania) 1880 — 1930, Rzeszów, 1930 r. Broszura ta, podpisana inicjałami W. G., wyszła nakładem Towarzystwa Myśliwych w Rzeszowie.

4) W polu i w lesie. Warszawa, 1932. Rady i wskazania dla zawodowych myśliwych, hodowców zwierzyny i strażników łowieckich. Praca ta nagrodzona została na konkursie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i wydana nakładem tego Związku.



Z pokazu trofeów w Poznaniu. Parostki rogacza, odstrzelonego przez p. O. Bernutha w lipcu 1934 r. w leśnictwie Borowo, pow. Kościan.

Prof. Gürtler, jako doświadczony, wytrawny myśliwy, rozsiewał w pracach swoich zdrowe i dobre ziarna. Ochrona zwierzyny, kierunek hodowlany w gospodarce łowieckiej, znajomość i trafnie pojęta miłość przyrody, cel dydaktyczny, wreszcie cechy języka, jak czystość, swoboda, popularność, piękność formy, świeżość stylu i łatwość dostosowywania go do tematu — oto walory, które złożyły się na to, że prace Jubilata w dziedzinie łowieckiej stanęły na wysokim poziomie.

Wierzę, że to nie koniec pracy na wdzięcznej niwie łowieckiej. Jubilat pełen werwy, energji i studenckiego niemal zapału, daje rękojmię dalszych owocnych wysiłków przez długi jeszcze szereg lat. Złote gody w tym warunkach — to nie żadna mrzonka. Daj Boże!

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

BAŻANTARNIE W ŁOCHOWIE.

Dzięki nadzwyczajnej uprzejmości i udzielonej mi wszelkiej pomocy, przez Administrację lasów i dóbr Łochowsko-Jadowskich, a w szczególności przez Pana Dyrektora lasów Józefa Hercika, miałem możność zwiedzenia niewątpliwie jednej z większych bażantarni, istniejących w Polsce.

Uważam za swój obowiązek, jako zamiłowany hodowca tego ptaka, podzielić się z szerszem gronem wyznawców św. Huberta swemi wrażeniami, spostrzeżeniami, obserwacjami i uwagami, jakie mi się nasunęły w czasie zwiedzania bażantarni w Łochowie w dniu 23 września 1935 r.

Położenie bażantarni.

Lasy, należące do dóbr Łochowsko-Jadowskich, położone są na półn.-wschód od Warszawy, od której są oddalone o 55 klm.

Dojeżdża się do st. kol. Łochów na linji Warszawa-Małkinia. Glebę posiadają wybitnie piasczystą (bonitacja III i IV), gdzieniegdzie podmokłą, w innych zaś miejscach, tworzą się łysiny, jako początek lotnych piasków. Typem panującym jest sosna pospolita.

Ogólny obszar lasów wynosi około 10.200 ha, z czego: 4000 ha położone jest w pow. radzymińskim, woj. warszawskiego, a 6.200 ha w woj. lubelskiem.



Karmienie starszych bażantów Fot. inż. Kemmer

Bezpośrednio przy szosie Łochów—Węgrów na klm 4-ym, w t. zw. Zawiszynie, jest położona główna bażantarnia, nosząca nazwę „Zwierzyniec". Powierzchnia jej w przybliżeniu wynosi około 200 ha. Jest całkowicie ogrodzoną płotem 2 m. wysokości. Od południa, północy i wschodu płot jest zrobiony z desek, od zachodu zaś z tyczek, przybitych dość szczelnie jedna obok drugiej. W dolnej części płotu, w równych oddaleniach, są porobione otwory, w których znajdują się, w wewnątrz ogrodzenia, poumieszczane skrzynki pułapkowe na szkodniki czworonożne.

Ze szkodników czworonożnych najwięcej się łapie tchórzy, łasic, psów i kotów. Pozatem łapie się dużo zajęcy. Zające są puszczane do ogrodzenia, celem zasilenia znajdującego się tam rodu zajęczego przez krzyżowanie i odświeżanie krwi.

Cały obszar w ten sposób ogrodzonej bażantarni składa się zasadniczo z dwóch nierównych części. Większa część są to drągowiny sosnowe w wieku od 25 do 40 lat i uprawy 1 do 5 letnie, natomiast mniejsza część, zajmująca mniej więcej $^1/_4$ część całego obszaru, podzieloną jest na trzy części:

a. pola uprawiane przez folwark,

b. remizy świerkowe, sosnowe, olchowe, wiklinowe i topinamburowe w formie długich prostokątów,

c. łąka, przytykająca bezpośrednio do drągowin, oddzielona od nich drogą objazdową.

Wspomniane drągowiny są podzielone 3-ma linjami prostopadłemi i jedną równoległą do mniejszej części.

Linje prostopadłe są stosunkowo szerokie od 12—18 m., służą jednocześnie za dodatkowe pólka dla zwierzyny i jako miejsce na stanowiska dla myśliwych.

Wspomniałem o uprawach, porozrzucanych planowo między drągowinami. Uprawy te są miejscem zatrzymania się przelatujących bażantów podczas pędzenia, które po pewnym czasie pędzi się w kierunku drągowin na myśliwych, dzięki czemu bażanty wysoko przelatują. By bażanty wysoko leciały i były dobrze „podane" myśliwym do strzału, używa się dodatkowo chorągiewek różnokolorowych, osadzonych na tyczkach 3 metr.

Przebieg samej hodowli jest następujący:

Zbieranie jaj wylęgowych.

Ze względu na to, że bażantarnia zajmuje bardzo wielki obszar, całkowicie ogrodzony, zrezygnowano z systemu wolierowego zbierania jaj, który dawniej miał zastosowanie. Istniejące woljery, wewnątrz rozgrodzono, wyzyskując je li tylko jako bardzo duży magazyn dla złapanych żywych bażantów, przeznaczonych do sprzedaży w kraju i zagranice.

Uważając w tym specyficznym wypadku całą powierzchnię bażantarni za jedną wielką woljerę, jaja w sezonie niesienia, a więc od początku kwietnia (w zależności od pogody) do początku czerwca, wybiera się w odstępach 3 dniowych z gniazd, w których nierzadko znajduje się po 30 i wiecej sztuk, zniesionych oczywiście przez kilka lub kilkanaście bażancic.

Zebrane jaja nasadza się pod nasiadki (kury swojskie i indyczki) w dwóch turnusach. Pierwszy, ilościowo mniejszy, np. w roku 1935 obejmował 2.000 sztuk i był wykonany około 5 maja, następny większy, w dwa tygodnie później, wynosił 2.500 jaj. Otrzymywany procent wylęgu waha się w granicach 70 do 80%. Ogólny wyleg roczny, wraz z bażancikami wylęgniętemi na dziko, przekracza znacznie cyfrę 4.500 sztuk!

Wylęgarnia.

Wylęgarnia jest zbudowana na wzór dużej szopy o szerok. 7 m., dług. 15 m., wysok. w szczycie 3.5 m., o podwójnym spadzistym dachu, sięgającym b. nisko, bo do 1.3 m. od ziemi, mierząc przy okapie dachu. Ściany szczytowe i boczne pokryte są siatką cynkową, niesięgającą bezpośrednio do ziemi, gdyż od ziemi są oszalowane deskami do wysokości 30 cm.

Budynek posiada jedno wejście w ścianie szczytowej oraz wewnątrz ubikację o pow. 20 m².

Wewnątrz, wzdłuż ścian zewnętrznych, stoją w pojedyńczych rzędach budki, bezpośrednio na ziemi, nieposiadające dna. Takie same budki są poustawiane w podwójnym rzędzie w samym środku wylęgarni, obrócone do siebie tylnemi ścianami. Budki te posiadają na zawiasach przykrywy, zamykające się w ten sposób, że po zamknięciu tworzy się szpara 8 cm., by nasiadka miała odpowiednią ilość powietrza.

Budki posiadają następujące wymiary: szerokość i wysokość tylnej ściany 50 cm., przedniej 40 cm., głębokość budki 55 cm.

Dach sięga swoim okapem dlatego tak nisko, by zaciemnić wnętrze wylęgarni, by zaś zapewnić odpowiednią cyrkulację powietrza, wszystkie ściany są pokryte wspomnianą siatką cynkową.

Po nasadzeniu kur i indyczek na jaja bażancie — przyczem gniazda znajdują się bezpośrednio na ziemi, gdyż budki, jak już wspominałem, dna nie mają —

karmienie nasiadek odbywa się w ten sposób. Bażantarnik zabiera po 10 sztuk nasiadek do wspomnianej ubikacji i tam nasiadki karmi; mogą one w dostatecznej mierze również tam się wypaprać. Jedyną złą stroną tego sposobu, który bezwątpienia jest lepszym od wylęgarń, zbudowanych w ten sposób, że skrzynki (budki) z dnami stoją w szeregach wzdłuż i nad sobą, jest właśnie to karmienie.

Jeżeli sobie uprzytomnimy fakt, że nasadza się odrazu 2.000, a następnie w 14 dni 2.500, a więc łącznie 4.500 jaj, to, przyjmując średnio, że pod jedną nasiadkę dajemy 20 jaj, potrzeba nam jest 225 budek. Czynność więc karmienia nasiadek, przyjmując, że jest jeden bażantarnik, powtarza się 22 razy. Przyjmując dalej, że czas karmienia jednej partji trwa 15 minut, otrzymamy 330 min. względnie 5.5 godzin! Czas ten ulegnie zwiększeniu w stosunku prostym do ilości nasadzonych pod nasiadki jaj.

Podczas karmienia bażantarnik ma możność porządkowania gniazd, obmycia jaj, przeglądu, skrapiania ich wodą, przemieszania i t. p.

Po 24 dniach następuje wylęganie młodych bażancików. Po wylęgu zostawia się młode bażanciki pod nasiadką przez 24 godziny, nie karmiąc ich zupełnie. Następnie wynosi się je w odpowiednich budkach, posiadających ścianę frontową, zrobioną ze szczebelków w ten sposób rozstawionych, że młode mogą przechodzić nazewnątrz i z powrotem, natomiast nasiadka pozostaje w budce. By można utrzymać większą kontrolę i by młode bażanciki, które wymagają zdwojonej opieki, nie rozchodziły się, do frontowej ściany przystawia się ogrodzenie z desek, w którem młode bażanciki, przez pewien czas przebywają i tam odbywa się ich karmienie. Pokarm początkowo składa się li tylko z białka.

Co drugi dzień zmienia się miejsce pobytu bażancików. Jest to może przy tej ilości bardzo uciążliwy sposób, jednak nadzwyczajnie hygieniczny i możliwy w Łochowie, mając na uwadze b. dużą powierzchnię bażantarni. Na każde 1000 sztuk młodych bażancików otrzymuje bażantarnik jednego chłopca do pomocy. Zwoływanie bażancików odbywa się przez ustne gwizdanie, co uważam za bardzo uciążliwe i mało donośne. Lepiej używać gwizdka metalowego.

Gdy bażanciki podrosną, puszcza się je z nasiadkami (które w tym okresie redukuje się) zupełnie swobodnie i, w zależności od wieku i wyglądu, karmi się je: jajami, poczwarkami mrówek, gotowanym łamanym ryżem (pośledniejszy gatunek), żytem oraz gotowanemi kartoflami.

Na uwagę zasługuje karmienie żytem. Jest to vis major, ze względu na piaszczyste gleby, gdzie pszenicy mało się sieje.

Zaznaczam, że kurowate, do których ród bażanci należy, niechętnie się żywią żytem, natomiast wolą pszenicę. W Łochowie jednak nolens volens przyzwyczaiły się do żyta, które skrzętnie konsumują. Dawkę otrzymują mniej więcej 5 kg. na 100 sztuk.

Do czynności opiekunów bażantów należy strzelanie wszelkiego rodzaju szkodników skrzydlatych. Strzelanie odbywa się przy pomocy p u h a c z a, na którego wszelkie szkodniki skrzydlate, jak gołębiarze, wrony, sroki i t. p. — biją, a ukryty strzelec z budki lub ukrycia je strzela.

W związku z tem na całej przestrzeni, specjalnie łąki, gdzie przeważnie bażanty się karmi, poustawiane są podpórki w kształcie litery T, na których umieszcza się przywiązanego puhacza. Pokarm puhacza składa się z ubitych szkodników, a więc pełna samowystarczalność.

Choroby, tak często występujące w bażantarniach, należą tutaj do rzadkości. Jest to wielki plus w hodowli bażantów, a podstawą tego świetnego stanu jest wielki obszar bażantarni, nadzwyczajnie dobrze wybrany teren i ciągła zmiana miejsca przebywania bażancików.

W czasie wyrastania ogonów, gdy nasada piór t. zw. „dudka" jest wypełniona krwistą cieczą, zauważono, że bażanty dość często napadają na siebie, dziobiąc się wzajemnie. Z chwilą pokazania się w tych miejscach krwi formalnie zadziobują delikwenta. Powodem tego stanu jest brak pokarmu mięsnego. Bażanty należą do ptaków roślino-mięsożernych i specjalnie w tym okresie wzrastania bażantów należy im dodawać do normalnej paszy codziennej trochę mięsa, czy to końskiego, czy też z zabitych szkodników czworonożnych, ewentualnie mączki kostnej, lub z krwi.

Przedmiotem hodowli są bażanty biało-obrożne, głównie bażant mongolski (*Ph. mongolicus*).

Ł a p a n i e ż y w y c h b a ż a n t ó w.

Wspomniałem o łapaniu żywych bażantów na sprzedaż. Nie od rzeczy więc będzie opisanie dość dowcipnego sposobu, prostego a nadzwyczaj skutecznego łapania bażantów w Łochowie.



Obok wylęgarni. Fot. inż. Kemmer.

Do łapania bażantów służy skrzynka. Szkielet jej jest zrobiony z łat w formie skrzyni na kartofle o długości 1.5 m. Szczytowe ściany i dno jest zrobione z desek, górna część skrzynki pokryta jest szczebelkami. Dwie boczne podłużne ściany, wskutek tego, że górna część jest szersza, a dolna węższa, są skośne i w nich na drucie, biegnącym wzdłuż górnego brzegu ściany, są zawieszone druty w odstępach 5 cm., wypełniające całą powierzchnię ścian. W dolnej części ścian jest umocowana listewka, która zapobiega wychylaniu się drutów, wiszących nazewnątrz.

Dolna część skrzynki składa się z dwu desek podłużnych, oddalonych od siebie na szerokość łaty, a więc 4 cm., która przebiega wzdłuż całej skrzynki. Do łaty tej jest przytwierdzona zasuwa o przekroju wewnętrznym skrzynki, licująca z tylną ścianą szczytową.

W tem położeniu łata wypełnia całkowicie otwór w dnie skrzynki. Tak przygotowaną skrzynkę, stawia się na miejscach zasypu, zasypując ziarno na dno skrzynki w samym środku. Bażanty, chcąc dostać się do pokarmu, podnoszą automatycznie pręciki druciane, które są łączone po trzy beleczkami drewnianemi. Druty, po wejściu bażanta do wewnątrz, siłą własnego ciężaru i skosu opadają i bażanty są schwytane. Wówczas przez otwór w przedniej szczytowej ścianie (zasuwka), do którego przystawia się worek, zapomocą opisanej łaty, przycią-

ga się pomału zasuwkę i bażanty same, bez żadnego uszkodzenia, wchodzą do worków.

Stan bażantów.

Ogólny stan bażantów oblicza się ponad pięć tysięcy, miarą tego są wyniki polowania dwudniowego, na którem pada około 3.000 sztuk! Mając na uwadze moment propagandowy zaznajomienia szerszej publiczności z wynikami, jakie można osiągnąć przez prawidłową i fachową hodowlę bażantów, polowania takie i im podobne należałoby filmować.

Nic tak nie przemawia do ludzkiej wyobraźni, jak bezpośrednie zetknięcie się na terenie z daną hodowlą, co w dużej mierze spełnia w zupełności film. Jest to sprawa również aktualna w związku z rozwiniętą propagandą przez nasze placówki konsularne, reklamujące zasobne we wszelkiego rodzaju zwierzynę tereny łowieckie.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że rocznie oprócz zabitych bażantów sprzedaje się 500 żywych kogutów i 500 sztuk kur i dodamy do tego rezultatu bażanty, pozostałe na terenie do dalszej hodowli, to szacunek mój nie odbiega od rzeczywistości.

Sprzedaż jaj wylęgowych.

Niezależnie od powtarzającego się rokrocznie wylęgu, o którym już wspomniałem, sprzedają bażantarnie łochowskie co roku przeszło 5000 sztuk jaj wylęgowych, bądź to w kraju, bądź to zagranicę.

Drugą bażantarnię, którą Łochowskie dobra posiadają, a która jest prowadzona sposobem na „pół dziko", jest bażantarnia, znajdująca się w części lasu, zwanej „Białym Ługiem".

Jest to 5 do 7-letnia uprawa sosny posp. i banki, założona na dużym łącznym zrębie, o glebie piasczystej. Teren zasadniczo jest równy, posiada w paru miejscach lekkie wzniesienia i zagłębienia, w których utworzyły się naturalne jeziorka. Obszar tej uprawy jest prawie że równy obszarowi bażantarni w Zawiszynie i wynosi około 200 ha.

Uprawa ta graniczy od strony połud.-wsch. z drzewostanami rębnemi, a z innych stron otoczona jest starszemi młodnikami sosnowemi.

Bażantarnia ta posiada pewien stały zapas bażantów, przeznaczonych do hodowli na dziko, jest rokrocznie zasilaną około 1000-em sztuk bażancików, wylęgniętych w „Zwierzyńcu". Ponieważ nie jest ogrodzoną, uważana być może za hodowlę, prowadzoną na „dziko". Ja jednak uważam ją za hodowlę „pół dziką", jak na wstępie ją określiłem.

Karmienie bażantów odbywa się w identyczny sposób, jak w „Zwierzyńcu".

Biorąc pod uwagę te dwie bażantarnie, znajdujące się na terenie dóbr i lasów Łochowsko-Jadowskich i traktując je łącznie, mogę śmiało twierdzić, że jest to jedna z większych, a może i największych bażantarni w Polsce, prowadzona nadzwyczajnie fachowo i postępowo przez wielkiego miłośnika hodowli tego ptaka, p. Dyrektora lasów Józefa Hercika, któremu na tem miejscu, jako hodowca i fachowiec, składam najserdeczniejsze gratulacje, życząc Mu dalszych sukcesów.

I dziwnem się wydaje, że położona blisko stolicy, z bardzo dogodnym dojazdem, bądź to koleją, bądź to autem, lub autobusem, jest zupełnie nieodwiedzana przez hodowców i miłośników łowiectwa, a już godnym podkreślenia jest fakt, że z tej bliskości nie skorzystał zakład S. G. G. W. i jego słuchacze?!

Nie mam słów zachęty, by wyżej wspomnieni postarali się odwiedzać tę jedyną w swoim rodzaju hodowlę bażantów, czerpiąc z niej wiedzę praktyczno-teoretyczną, dotyczącą hodowli tego ptaka, który w naszym kraju ma jak najlepsze warunki hodowlane.

Kończąc ten fragmentaryczny do pewnego stopnia opis bażantarni łochowskiej, niech mi wolno będzie podziękować p. Erykowi hr. Kurnatowskiemu za łaskawe zaproszenie, jak również Dyrektorowi lasów, p. Józefowi Hercikowi za staropolską gościnność i udzielenie wszelkich informacyj, dotyczących tajników hodowli bażantów.

Inż. H. KEMMER

CZY WILKI SĄ JEDYNĄ ZWIERZYNĄ NA KRESACH?

W sprawie powyższej, poruszonej przez p. M. K. Pawlikowskiego w „Łowcu Polskim" i w „Gdzie to gdzie zagrały trąbki myśliwskie", a spowodowanej artykułem p. W. G. S. w „Łowcu" z dn. 1 września b. r., odpowiadam z dwóch powodów:

1) W uznaniu słuszności, będącej po stronie pana Redaktora organu Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

2) Autor artykułu, umieszczonego w Nr. 11 „Łowca", Władysław Garapich, od 12 września b. r. nie żyje, więc sam odpowiedzieć nie może.

Nie chcę wdawać się w żadną polemikę z panem Redaktorem Pawlikowskim co do szkodliwości, czy też pożyteczności wilka na Wschodnich Kresach, chcę tylko usprawiedliwić ś. p. Autora wzmianki „wilczej" i usunąć choćby cień jakiś krzywdy Jego pamięci.

Asumptem do tego zwrotu „wilczego" w Jego artykule było wypowiedzenie się jednego z pp. Delegatów Tow. Łow. Ziem Wschodnich przed kilku laty w Warszawie, na Komisji nowelizacji prawa łowieckiego, że chcieliby utrzymać wilki na Wileńszczyźnie, choćby już z tego powodu, *że tam na polowaniach zimowych jest on jedyną zwierzyną, budzącą atrakcję nietylko u myśliwych miejscowych, ale i obcych, szczególnie jeżeli chodzi o reprezentacyjne polowania.*

Zdanie to p. Delegata wyżej przytoczone, wydaje mi się całkiem słuszne, gdyż na polowaniu zimowem łoś ani głuszec w rachubę nie wchodzi, dzików, o ile wiem, jest tam niewiele, a wątpię, by zwykła drobna zwierzyna, choćby bielak, mogły stanowić silniejszą atrakcję dla obcych myśliwych.

Rzecz więc cała polega na nieporozumieniu i winie ś. p. W. G. S. i mojej. On wypowiedział się zbyt ogólnikowo, ja go też przez przeoczenie nie wyręczyłem motywami, które, powinienem był zakomentować.

Zaręczam Panu, Redaktorze organu Tow. Łow. Ziem Wschodnich, że ś. p. Zmarły dalekim był od zrobienia komukolwiek przykrości, a tembardziej Wileńszczyźnie, do której odnosił się zawsze z największą sympatją, a marzeniem Jego było — niedościgniomem niestety — znaleźć się choć raz w życiu z bronią na ramieniu wśród głębokiej puszczy na wschodnich naszych rubieżach.

Niech to moje oświadczenie będzie zadośćuczynieniem za przykrość wyrządzoną, niech usunie przedewszystkiem urazę do Zmarłego, który gorąco ukochał łowiectwo nasze, uważając je za jedną wspólną, bardzo wartościową własność narodową.

ALBERT MNISZEK.

OŚRODKI HODOWLI ŁOWIECKIEJ NA ZIEMIACH WSCHODNICH.

Do niedawna jeszcze ziemie północno-wschodnie naszego kraju stanowiły krainę dzikich polowań na ptactwo i zwierza, o hodowli którego nikt tutaj nie myślał, gdyż nawet nie zachodziła tego konieczna potrzeba. Rozległe puszcze, podmokłe rojsty i lśniące tafle jezior rozbrzmiewały donośną wrzawą ptasich i zwierzęcych głosów, toteż polowało się bez ograniczenia, a jednak zwierzostan tutejszych łowisk bynajmniej nie malał.

Ale nadeszła wojna. Odwieczne bory i lasy liściaste padły pod toporami chciwych okupantów, większe posiadłości ziemskie skurczyły się i rozdrobniły, a liczne rzesze dobrze uzbrojonych kłusowników — dokonały reszty. Po ocalałych okruchach dawnych puszcz, po gąszczach niedostępnych bagnisk tułały się niedobitki czworonogów łownych i skrzydlatych, były one jednak tak nieliczne, że potrzeba ochrony i hodowli łowieckiej stała się koniecznością. Należało ratować za wszelką cenę zabytki dawnych wspaniałych zwierzostanów, trzeba było myśleć o odrodzeniu nawet zająca - szaraka, bo i jego egzystencja stała się mocno zagrożoną, a cóż dopiero mówić o dziku, sarnie, łosiu, bobrze, rysiu, głuszcu, pardwie, czy cietrzewiu.

Zniszczone, skłopotane powojenne ziemiaństwo kresowe ochoczo jednak zabrało się do żmudnej pracy, pracy od postaw dla umiłowanego łowiectwa. I walcząc z olbrzymiemi trudnościami materjalnemi, borykając się z przeciwnościami, piętrzącemi się na każdym kroku — powstawały jeden po drugim ośrodki prawidłowej gospodarki łowieckiej, ochrony i hodowli zwierzyny. Dziś już Ziemie Wschodnie liczą takich gospodarstw całe dziesiątki, toteż w artykule niniejszym wspomnę zaledwie o kilkunastu najwybitniejszych, o takich, gdzie stan zwierzyny jest dobry i coraz bardziej się poprawia chociaż kilka lat temu wstecz nawet szarak bywał tam rzadkością.

Wprawdzie może dla hodowców Kongresówki, lub Wielkopolski nasze rekordy zajęcze wydadzą się dość mierne, to jednak jak na Wileńszczyznę, czy woj. nowogródzkie, są one bardzo wysokie i trudne do osiągnięcia dla najlepszego nawet gospodarstwa łowieckiego. Bowiem w czasach przedwojennych, w okresie największego rozkwitu zwierzostanów, żadne tutejsze łowisko nie dawało rozkładu stu zajęcy, upolowanych w kilka strzelb w ciągu jednego dnia. Dlatego też zupełnie świadomie wspominam o rekordach, nie stawiając przy tym wyrazie cudzysłowu i — jako pisarz kresowy — jestem z nich dumny. Ostry klimat, obfitujący w wielce niemiłe dla hodowcy niespodzianki, rozległe obszary lasów i błot, utrudniające, a niekiedy nawet uniemożliwiające całkowicie walkę z kłusownictwem i wnykarstwem, bardzo znaczne zubożenie powojenne ludności — wszystko to wyklucza możliwość osiągnięcia takich rezultatów hodowlanych, jakiemi szczycą się centralne i zachodnie województwa Polski. Toteż wyniki dotychczasowe uważać trzeba za bardzo dobre, a właścicielom takich gospodarstw należą się słowa szczerego uznania.

W ogromnych posiadłościach Ordynacji Nieświeskiej, Albrechta ks. Radziwiłła, w pierwszych latach niepodległości naszej Ojczyzny zwierzostan był zdziesiątkowany i rozproszony. Jeszcze 6 stycznia 1929 r., całodzienny rezultat łowów stanowił 1 lisa i 24 szaraki. Jednak praca właściciela, jak i ówczesnego zarządcy, ś. p. Olgierda Świdy, znakomitego hodowcy i myśliwego — zrobiły swoje. Oto jedno polowanie w grudniu 1933 r. przyniosło już 120 szaraków.

Dobra Pierszaje, Benedykta hr. Tyszkiewicza, słyną dziś szeroko, jako jeden z głównych ośrodków hodowli łowieckiej, gdzie zaaklimatyzowano nawet jelenie, których odstrzał na rykowisku uskutecznia się od kilku lat. A przecież w tych samych Pierszajach w dn. 22 grudnia 1929 r. upolowano zaledwie 11 szaraków i 2 bielaki, gdy tymczasem na czterodniowych łowach (24—28 listopada) w 1933 r. padło już 218 szaraków, 8 bielaków, 1 lis i 2 bażanty.

Boracin Mieczysława Tukałły był pierwszą placówką łowiecką, która wprowadziła w województwie nowogródzkiem hodowlę bażantów, pomyślnie się rozmnażających. Ogólny stan zwierzyny jest zupełnie dobry. Na jednodniowem polowaniu, jak np. 31 grudnia 1933 r., ubito 58 szaraków, 6 bażantów i 2 jarząbki.



Parostki rogacza, ubitego w rewirze Jezierzany, powiatu buczackiego, w dniu 4 sierpnia 1935 roku przez p. Jana Wieczffińskiego. Wymiary: wysokość 26 i 26,5 cm., obwód róż 13 i 13,5 cm., obwód pni 8 i 8,5 cm., odnogi tylne 11,9 cm. długości; waga ze szczęką dolną 537 gramów.

Łukawiec Jana Borowskiego znany jest na Ziemiach Wschodnich, jako wzorowe gospodarstwo łowieckie, obfitujące w drobną zwierzynę, przedewszystkiem lisy, zające i bażanty, a także jako teren łowów zimowych na grubego zwierza. Oto np. sezon zimowy 1930 r. dał: 9 wilków, 2 rysie, 4 lisy, 8 szaraków, 12 bażantów i 1 cietrzewia.

Malinowszczyzna Bolesława Świętorzeckiego jest eldoradem ptactwa, a przedewszystkiem kaczek, które biesiadują na stawach w ilości kilku tysięcy sztuk. Jest tu także sporo cietrzewi i pardw, oraz głuszców, troskliwie hodowanych przez właściciele-

la. W sezonie zimowym pada zwykle także kilka wilków. Przeciętny rezultat jednodniowych łowów zajęczych wynosi 25 — 35 sztuk.

W sąsiedniej Jachimowszczyźnie Karol Świętorzecki prowadzi znaną hodowlę kaczek-krykuch, nabywanych przez myśliwych z całej Polski. Szczególnie piękny jest tu zwierzostan szaraków, a dzień łowów daje ponad 60 sztuk. Już kilka lat temu (20 stycznia 1930 r.) jednodniowe polowanie przyniosło 2 lisy i 53 zające.



Parostki rogacza, ubitego w rewirze Beremiany, powiatu buczackiego, w dniu 15 sierpnia 1935 r. przez p. Jana Wieczlińskiego. Wymiary: wysokość 21,5 — 25 cm., obwód róż 11,5 — 12 cm., obwód pni 6,5 — 6,8 cm., rozpiętość 21,5 cm. Waga ze szczęką dolną 487 gr.

Posuwając się na zachód i północno-zachód Wileńszczyzny, natrafimy na liczne ośrodki hodowli łowieckiej, zgrupowane dookoła Wilna. Wielkie Soleczniki Karola Wagnera ilustrują najlepiej stopniowy wzrost zwierzostanu, spowodowany troskliwą opieką i racjonalną gospodarką, umiejętnie prowadzoną przez właściciela. Oto w dniu 25 listopada 1928 r. rezultatem polowania były 4 szaraki i 2 lisy. W trzy lata później, 8 stycznia 1931 r. zabito już 2 lisy i 46 zajęcy, a w dniu 10 stycznia 1933 r. podniesiono wilka, 2 lisy i 62 zające. Nakoniec 28 listopada 1934 r. rozkład stanowiło 120 szaraków, jarząbek i znowu 2 lisy. Sądzę, że wszelka charakterystyka tego łowiska jest zupełnie zbyteczna: cyfry mówią najlepiej.

Waka Jana hr. Tyszkiewicza jest dobrze zagospodarowanym terenem, obfitującym w drobną zwierzynę, jak np. lisy, zające i jarząbki. Hr. Tyszkiewicz prowadzi ponadto hodowlę głuszców w innej swej posiadłości — Borsukowinie (pow. wołożyński), gdzie stan ich jest tak wspaniały, że dopuszczalny roczny odstrzał kogutów wynosi 100 sztuk. Rzeczą powszechnie znaną jest, że hodowla głuszców bezwzględnie należy do najtrudniejszych, ale jednak, jak widać, przy dobrych chęciach można osiągnąć wprost nadzwyczajne rezultaty.

Prześlicznie nad brzegami jezior trockich położone Zatrocze, Andrzeja hr. Tyszkiewicza, znane jest z obfitości kuropatw i zajęcy, których stan rokrocznie się polepsza. W dniu 1 grudnia 1930 r. zabito tu 13 szaraków, już natomiast 25 listopada 1933 r. padło ich 31, a ponadto lis i cietrzew. Obecnie prowadzona jest hodowla bażantów.

Pięknem łowiskiem podwileńskiem jest Annowil Karola Erdmana. I tu, podobnie jak w Wielkich Solecznikach cyfry rozkładów obrazują najlepiej zasobność kniei. 14 stycznia 1933 r. rezultat łowów stanowiły 4 lisy i 37 zajęcy. 4 stycznia roku następnego padło już 66 zajęcy i 3 cietrzewie, a 20 stycznia 1935 r. pokot stanowiło 95 zajęcy, 5 lisów i wilk.

Sąsiednie Glinciszki K. Jeleńskiego także wykazują znaczny wzrost ilości zwierzyny, bo gdy 30 grudnia 1931 r. zabito tam 15 zajęcy i 4 lisy — to 28 grudnia 1933 r. padło 9 lisów, jarząbek i 63 zające. Młody, energiczny właściciel potrafił w krótkim czasie postawić teren swój na dostatecznie wysokim poziomie hodowlanym.

Bardzo intensywną działalność hodowlaną przejawia Oficerski Klub Łowiecki Garnizonu Wilno na dzierżawionych przez siebie terenach w powiecie święciańskim. Łowiska te, które jeszcze przed kilkoma laty stanowiły pustkowia łowieckie — dzięki z dużym nakładem kosztów i pracy prowadzonej hodowli, dziś już obfitują w najrzadszą nawet zwierzynę. Ogólna ilość zwierzyny upolowanej w r. ub. wynosi: 50 szaraków, 8 bielaków, 6 głuszców, 45 cietrzewi, 30 kuropatw, 3 wilki, 3 lisy, 18 słonek i 100 kaczek. A niektóre gatunki, jak np. sarny, pardwy i bażanty nie są zupełnie strzelane.

Na „dalekiej północy" Wileńszczyzny leżą Hrehorowicze i Siećków Mieczysława Goryniewskiego. Tu, obok racjonalnej hodowli, kwitną łowy z ogarami, dając nieraz doskonałe rezultaty. Naprzykład dnia 26 października 1933 r. w 4 strzelby upolowano z gończemi w 1 dzień 26 zajęcy, zaś łowy z nagonką 7 listopada 1932 r. dały 36 zajęcy i lisa. Jak widać z powyższego — różnica bardzo nieznaczna.

Ostatnim wreszcie główniejszym ośrodkiem hodowli łowieckiej na Ziemiach Wschodnich, a zarazem jednem z najpiękniejszych łowisk wogóle — jest Woropajewo, Konstantego hr. Przeździeckiego, znane w całej Polsce ze świetnych polowań na wilki, głuszce i pardwy. Jako olbrzymi kompleks borów i mszarów, posiada przeważnie zające - bielaki, natomiast szaraki stanowią tu wybitną mniejszość. Np. na polowaniu 31 stycznia 1930 r. zabito 2 jarząbki, 12 bielaków i zaledwie 2 szaraki. Natomiast łowy na wilki dają zawsze doskonałe rezultaty.

Na zakończenie wspomnieć muszę pobieżnie o ośrodkach hodowlanych dwóch najcenniejszych gatunków naszych zwierząt łownych, a mianowicie łosia i bobra. Ten ostatni przebywa przeważnie na terenach państwowych w woj. nowogródzkiem, w pobliżu stacji kol. Mosty, oraz w Puszczy Nalibockiej, a także podobno w pow. stołpeckim i na terenach maj. Lubcza. Najliczniej natomiast występują bobry na rzece Szczarze w pow. Słonim. W Wileńszczyźnie znajdują się tylko na rzece Berezynie, przecinającej posiadłości maj. Zamosze. Ogólny stan bobrów w tych łowiskach wynosi ponad 80 sztuk.

Łosie zamieszkują Puszczę Rudnicką, Nalibocką i Wiado-Tupicką oraz tereny prywatne Rzepichowsko-Chotynickie i Byteń. Przypuszczam, iż ostoje ich są już dostatecznie znane wszystkim czytelnikom „Łowca Polskiego", toteż ograniczę się do tej krótkiej wzmianki, zaznaczając, że ilość ich na ziemiach Północno-Wschodnich wynosi około 300 sztuk.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

Ś. P. KAZIMIERZ STRZEMIĘ WYSOCKI.

W dniu 24 października b. r. zmarł w Ostobużu, przeżywszy lat 79, Kazimierz Strzemię Wysocki, długoletni delegat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, senjor delegatów powiatu rawskiego. Urodzony w roku 1856 w Ostobużu, ukończył ś. p. Zmarły wydział prawa na uniwersytecie lwowskim, poczem lat kilka służył w administracji państwowej. W roku 1895 objął gospodarstwo w rodzinnym Ostobużu, poświęcając przytem wiele czasu i pracy sprawom publicznym, jako członek Rady Powiatowej i na innych polach. Wybrany w roku 1911 na posła do austr. parlamentu, był nader czynnym i pracowitym członkiem Koła Polskiego, a gdy Go na tem stanowisku zaskoczyła w Wiedniu wojna światowa, oddał się z poświęceniem sprawom uchodźców polskich, pomagając im walnie w uzyskiwaniu odszkodowań za świadczenia wojenne, rekwizycje i w innych wypadkach. Również w Wiedniu organizował wśród tamtejszej kolonji polskiej kompanję legjonową i jako kapitan Legjonów sprawował dłuższy czas funkcje Komendanta Placu Legjonów w Wiedniu. Po ustąpieniu Moskali wrócił do zniszczonego doszczętnie wojną Ostobuża, gdzie Go w jesieni r. 1918 zastała zawierucha polsko-ukraińska. Aresztowany przez ukraińców, był długie miesiące internowany przez nich w Kosowie. Z tytułu poselstwa wiedeńskiego był następnie członkiem Sejmu Konstytucyjnego, gdzie pracował intensywnie i z pożytkiem w różnych komisjach, jako członek Klubu Partji Pracy. Po ukończeniu kadencji w r. 1924 poświęcił ostatnich 11 lat życia już wyłącznie sprawom łowieckim, których zresztą i przedtem nigdy z oka nie spuszczał. Przygotowany należycie przez dokładną znajomość prawa administracyjnego i łowieckiego, położył na tem polu niespożyte zasługi jako organizator racjonalnego łowiectwa i projektodawca w wielu kierunkach. Był zaiste wzorem delegatów, informując M. T. Ł. i Związek natychmiast o każdym nowym przejawie życia łowieckiego, składając wzorowe sprawozdania ze swej i swych kolegów-delegatów działalności, organizując swoją i ich działalność w powiecie, przedstawiając głęboko obmyślane projekty organizacji łowiectwa. Opracował też projekt nowej organizacji Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, który posłużył za podstawę do opracowania projektu nowego statutu Związku. Podnosił także ustawicznie konieczność zaprowadzenia plombowania bitej zwierzyny, jako radykalnego środka przeciw kłusownictwu i nielegalnemu handlowi zwierzyną. Wypracowany przezeń w tym względzie, a przez P. Z. S. Ł. Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych przedłożony projekt, jeżeli zostanie w czyn wprowadzony, będzie trwałym pomnikiem myśli i działalności ś. p. Kazimierza Wysockiego.

Jako myśliwemu, nie były Mu obce polowania w głębokich Karpatach, z prawdziwem zamiłowaniem uprawiał jednak też polowanie na drobniejszą zwierzynę, a pasjonował się szczególnie do polowań błotnych na rozległych łąkach i bagnach nad Sołokiją, gdzie w celności strzałów ustępował nieraz mało swemu sąsiadowi, znakomitemu strzelcowi i myśliwemu p. Kazimierzowi Marmarossowi z Karowa. Mimo podeszłego wieku, broni z rąk prawie do ostatniej chwili nie wypuszczał, bo jeszcze w styczniu b. r. wziął udział w polowaniu w sąsiednim Tehlowie.

Myślistwo polskie poniosło przez śmierć ś. p. Zmarłego niełatwo dającą się uzupełnić stratę, a bliżej Mu stojące myślistwo małopolskie okryło się kirem serdecznej po Nim żałoby.

A. S.

POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH W POZNANIU.

Jeżeli opis ostatniego pokazu trofeów łowieckich, urządzonego w roku 1933 przez Wielkopolski Związek Myśliwych, a zamieszczony w n-rze 12-tym „Łowca Polskiego", zaczynał się od słów, że i w tej dziedzinie kryzys, gniotący nas wszystkich, pokazał swą siłę, to, sądząc po tegorocznym pokazie, który rozrósł się do rozmiarów wystawy, możnaby przypuszczać, że kryzys nietylko stracił swą siłę, ale nawet zupełnie znikł. Oby tak było naprawdę!

Tegoroczny pokaz obejmował w zasadzie tylko trofea, zdobyte w latach 1933 — 1935 i te tylko były poddane ocenie i ewentualnie premjowane. Jako nowość wprowadzono premjowanie kolekcyj selekcyjnych rogaczy, co ma dla nas na ziemiach zachodnich wielkie znaczenie ze względu na zakaz polowania na rogacze, obowiązujący w latach 1933 i 1934. Dozwolony był tylko odstrzał rogaczy selekcyjnych za indywidualnemi zezwoleniami. Kolekcyj takich nadesłano dużo, lecz niestety szeregu z nich, które na oko zasługiwały na odznaczenie, nie można było premiować, a to dla braku uzębień, któreby dawały możność ocenienia wieku. Wobec tego, że brak uzębienia uniemożliwia należyte ocenianie trofeów, komisja sędziowska postanowiła na przyszłych pokazach wogóle nie premjować trofeów, któreby nie posiadały obu szczęk.

Po raz pierwszy w tym roku zastosowano do oceny metodę prof. Dyka, która może nie daje równie precyzyjnych danych, co metoda Nadlera, ale jest o wiele łatwiejsza do zastosowania, a wystarczająca dla oceny.

Komisję sędziowską składali pod przewodnictwem p. S. Mravincsics'a panowie: Bronikowski, ks. Olgierd Czartoryski, hr. Hochberg, inż. Martyniec, inż. Przybylski i ordynat J. Taczanowski.

Wieńców jelenich nadesłano 36, z tego poza konkursem 3, a to dwa jako karpackie, a jeden bardzo silny wielkopolski, ale z dawniejszych lat. Medal złoty przyznano p. A. Herrmannowi za tegorocznego niereg. 16-taka (1033,7 pktów M), srebrnych medali udzielono 8, z tego dwa najsilniejsze wieńce były 16-taka, ubitego w r. 1934 przez p. ordynata J. Taczanowskiego (991 pktów M) i niereg. 18-taka z tegorocznego rykowiska, zdobytego przez p. S. Mravincsics'a (982 pktów M). Bronzowych medali nadano sześć.

Danielich łopat zaprezentowano pięć, udzielono 2 srebrne i jeden bronzowy medal; najsilniejsze było tegoroczne trofeum p. prof. d-ra Jurasza.

Rogaczy nadesłano ogółem 365 poroży, z tego 164 w kolekcjach, czy to kapitalnych, czy też selekcyjnych; te ostatnie były w znacznej większości.

Tylko dwie pary parostków, a to pp. hr. Ronikiera i Kaczorowskiego uzyskały złote medale w konkurencji indywidualnej, natomiast w tej grupie udzielono 12 srebrnych i 8 bronzowych medali.

Między kolekcjami z odstrzału selekcyjnego odznaczały się dwie specjalnie, a to Ordynacji Obrzyckiej, odznaczonej złotym medalem i dóbr Żołędnica, nagrodzonej srebrnym. Za selekcyjne kolekcje przyznano ogółem 1 złoty, 5 srebrnych i 8 bronzowych medali.

Za kolekcje kapitalnych rogaczy przyznano 1 srebrny i 1 bronzowy medal.

Na podstawie reprezentowanych trofeów przyznała komisja sędziowska za zasługi hodowlane w okresie lat 1933—1935 złoty medal p. ord. J. Taczanowskiemu, a srebrny prezesowi W. Z. M. p. płk. Chłapowskiemu.

Szabel dziczych i to silnych, jak na nasze stosunki, przedstawiono 11 par oraz głowę odyńca. P. Paweł Holz otrzymał złoty medal, ordynat hr. Z. Skórzewski 2 srebrne, 1 bronzowy oraz srebrny medal za kolekcję. Pozatem inni wystawcy otrzymali 1 srebrny i 2 bronzowe medale, a p. płk. Chłapowski bronzowy medal za łeb odyńca.

Oprócz tego był szereg ciekawych okazów ptaków i zwierząt, z pośród których głuszec, ubity przez p. dyr. Śliwińskiego na Pomorzu, otrzymał srebrny medal.

Wiele trudu położył koło zorganizowania pokazu sekretarz W. Z. M. p. nadleśn. Hoszowski.

S. M.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W dniu 4 listopada b. r., z inicjatywy i pod przewodnictwem Prezesa Związku, p. ppłk. rez. K. Chłapowskiego, odbyło się w lokalu W. Z. M. plenarne zebranie samodzielnej kynologicznej sekcji hodowli psów myśliwskich dowodnych i tropowców przy W. Z. M.

Do Zarządu Sekcji zostali jednogłośnie wybrani: p. dr. J. Szuman, jako przewodniczący Sekcji, p. Fr. Unrug, jako wiceprzewodniczący, p. A. Gaponow, jako skarbnik i p. K. Hoszowski, jako sekretarz.

Celem Sekcji kynologicznej, do której przystąpili znani na terenie Wielkopolski i Śląska hodowcy psów myśliwskich, będzie racjonalna hodowla i tresura psów myśliwskich, ich zbyt, importowanie i wymiana reproduktorów szlachetnych ras psów dowodnych, tropowców, jamników, terjerów i t. p. oraz założenie w najkrótszym czasie księgi rodowodów i jej prowadzenie.

Wszystkich pp. myśliwych-hodowców, interesujących się nowoutworzoną Sekcją kynologiczną, prosimy o zapisanie się do Sekcji i wzięcie czynnego udziału w tej tak ważnej dla łowiectwa polskiego akcji.

Za Zarząd — Sekretarz:

K. HOSZOWSKI.

DOBRE I ZŁE.

W „Głosie Mazowieckim" z dnia 9 ub. m. zamieszczony został artykuł p. T. G. pod tytułem „W sprawie ochrony zwierzyny".

Autor zastanawia się, co jest przyczyną tego, że w niektórych okolicach kraju zwierzostan wyraźnie z roku na rok kurczy się, pomimo zasadniczo wielkiej możliwości rozmnoży drobnej zwierzyny w naturalnych warunkach, jakiemi Polska rozporządza.

Oskarżenie skierowuje Autor do gospodarzy, drobnych rolników, dowodząc, że dla ochrony zwierzyny bynajmniej nie są konieczne znaczne obszary wielkich dóbr ziemskich, ani też większe kapitały. Przeciwnie — im mniejszą przestrzeń zajmują grunty jednego właściciela, tem łatwiej mieć je ustawicznie na oku i upilnować naturalnego ich bogactwa pod postacią zwierzyny.

W związku z tem występuje p. T. G. przeciwko puszczaniu przez gospodarzy wiejskich psów-stróżów samopas w pole, lub pozwalaniu na bieganie po polach psom, chodzącym za stadami pasącego się bydła lub trzody.

Jedne należy trzymać na uwięzi ,gdy zdradzają skłonność do samowolnych wędrówek, drugie zaopatrywać w drążki z drzewa, aby im utrudnić gonienie i płoszenie zwierzyny, a zmusić do przebywania przy pasącem się stadzie.

Wreszcie chodzi o karcenie przez starszych niszczycielskiej swawoli dzieci i niedorostków, wybierających bezmyślnie gniazda, niszczących jaja, chwytających młode zające i t. d.

Wskazuje także na bardzo ważną okoliczność, ułatwiającą gospodarzom wiejskim ochronę zwierzyny przed kłusownikami z bronią i wnykarzami. Oto niema żadnej wątpliwości, że przysłowie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi" można tu zastosować w całej rozciągłości, twierdząc, iż każdemu z gospodarzy wiadomi są z imienia i nazwiska wszyscy miejscowi w danej wsi, lub pobliskich kolonjach, szkodnicy łowieccy.

Gdyby każdy właściciel gruntu przestrzegał rozumnych nakazów, płynących z właściwie pojętego własnego dobra i społecznego bogactwa, uznając zwierzynę za objekty dochodowe gromady, zwierzostan najbardziej wyjałowionych okolic wzrósłby w ciągu paru lat bardzo znacznie, pozwalając na odpowiednie realizowanie jego wartości zapomocą dzierżawy polowania.

W zakończeniu proponuje autor, ażeby każde kółko rolnicze zatroszczyło się o odpowiednie uświadomienie pod tym względem swych członków, następnie, aby w celu zaznajomienia gromady z prawem łowieckiem nabyło po jednym egzemplarzu tej ustawy dla jej spopularyzowania po odczytaniu przez urządzenie szeregu pogadanek choć kilka razy w roku. Myśl bardzo piękna — trzeba tylko trochę ludzi dobrej woli, nieco cierpliwości i pracy...

WUZET.

ODSTRZAŁ NIEDŹWIEDZI W KARPATACH WSCHODNICH.

W okresie tegorocznego rykowiska jeleni, we wrześniu, ubito w lasach dóbr kurji metropolitarnej Perehinsko dwa niedźwiedzie z liczby 4, na odstrzał których Zarząd dóbr otrzymał zezwolenie. Dużego niedźwiedzia samca ubił p. St. Cieński, oraz starą niedźwiedzicę, zupełnie pozbawioną zębów, bar. Ike-Duninowski. Ponadto w Wołosiance padła z rąk dr. Błeszyńskiego bardzo stara niedźwiedzica.

Co mówi specjalista w tępieniu wilków.

W Nr. 31 „Łowca Polskiego" z dn. 1 listopada b. r. podawaliśmy notatkę p. t. „Specjalista w tępieniu wilków", zaczerpniętą z oryginalnej korespondencji do redakcji leśniczego M. Feisста z Bawarji.

Notatka ta doszła rąk wynalazcy sposobu chwytania wilków, uznał ją jednak za zbyt mało przyciągającą uwagę jednostek, mogących interesować się próbami skuteczności jego wynalazku, bowiem wkrótce potem nadesłał redakcji opis swojej pułapki i jej zastosowania, z prośbą o opublikowanie tych szczegółów.

Czynimy to dla uzupełnienia naszej pierwszej notatki.

Leśniczy Feisst, opierając się — co ustawicznie podkreśla — na doskonałej znajomości natury i zwyczajów wilków, pułapkę swą buduje na terenie ostoi wilczych, w pobliżu t. zw. przechodów i weksli tych zwierząt. Pułapka jest niezwykle prostej konstrukcji: szkielet jej przedstawia zwykłe ogrodzenie z prętów i gałęzi wysokości 3 m., nieco pochylone do wewnątrz. Powierzchnia ogrodzonego w ten sposób terenu winna być prostokątna i mierzyć ca 20—25 m. długości oraz 5—6 m. szerokości.

Główną „tajemnicą" pułapki, jak się p. Feisst wyraża, w tem znaczeniu, aby wilki zdecydowały się wejść do środka, jest pozostawienie w obu dłuższych ścianach zagrodzenia otworów wejściowych (przerw w ogrodzeniu), które winny być identycznej szerokości i dokładnie leżeć naprzeciw siebie, tworząc lukę na przestrzał. Otwory wejściowe (przerwy ogrodzenia) powinny mieć ca 1,20 do 1,50 m. szerokości.

Tuż przed wejściowemi otworami wykopuje się dostatecznie głębokie i szerokie jamy, uniemożliwiające innym zwierzętom wejście do zagrodzenia (np. owcom i t. p. na pastwiskach, psom i t. d.), które jednak wilk łatwo może przesadzić skokiem.

Następnie, w zależności od tego czy chce się wilki uśmiercać na miejscu, czy też chwytać je żywcem, postępuje się w sposób dwojaki.

W pierwszym wypadku wbudowuje się przy każdem wejściu duże kloce do zabijania, z zastosowaniem sposobu spadania zapomocą przeciągnięcia cienkich mosiężnych drutów. Wskakujący zwierz musi koniecznie nacisnąć, albo dotknąć mechanizmu, co pociąga za sobą kloc, który błyskawicznie spada, zabijając go na miejscu. Trzeba pamiętać, że przez nastawiony na wilki kloc nie można wchodzić do środka ogrodzenia, zdarzyło się bowiem, że uczynił to pewien rusin i znaleziono go potem z bronią w ręku, zabitego w pułapce.

O ile chodzi o chwytanie wilków żywcem, zamiast spadnięcia kloca w ten sam sposób wywołuje się zatrzaśnięcie drzwi po obu stronach pułapki. Opisanego ogrodzenia żaden wilk nie sforsował.

Żywą przynętę na wilki umieszcza się wewnątrz pułapki w oddzielnej klatce, nieco z boku od przestrzałowego światła wejściowego; używa się w tym celu owiec, psów, świń i t. p. Niekiedy maskuje się również całe ogrodzenie, o ile topografja wybranego w puszczy miejsca na to pozwala (na pastwiskach stad i trzód jest to zbyteczne).

Tak skonstruowana pułapka czynną być może przez cały rok — zimą i latem.

Jest jeszcze inny sposób chwytania wilków żywcem, lecz opis tego sposobu jest bardzo trudny, chociaż mechanizm stosuje się jeszcze prostszy. O tem p. Feisst obiecuje dać wskazówki innym razem.

A jednak — wygląda to na bajeczkę...

WŁ. Z.

KŁUSOWNICTWO.

Cielętniki, pow. Radomsko.

5-go listopada 1935 r. o godz. 12-ej gajowy Gielniak zameldował leśniczemu Turskiemu, że tegoż dnia rano znalazł w swoim rewirze w odległości 400 m. od gajówki, zabitą sarnę, przykrytą mchem i że kłusownik w dalszym ciągu poluje w rewirze. Na skutek tego leśniczy z dwoma gajowymi udał się do rewiru Gielniaka i zarządził czaty w odległości około 50 m. wokoło zabitej sarny. O godz. 16-ej usłyszano strzał z floweru w odległości około 300 m. w kierunku lasów Garnkowskich. Po upływie 10 minut padł drugi strzał w odległości około 100 m., kłusownik wtedy został rozpoznany, strzelał on z floweru do zająca, lecz chybił. Kłusownikiem okazał się Szczepańczyk Jan ze wsi Kopaniny, gminy Przyrów. Gajowi nie zostali zauważeni przez kłusownika i rozmyślnie pozostawali nadal w ukryciu. Około godz. 17,30, kiedy już było zupełnie ciemno, a rzecz działa się w dość gęstej drągowinie, usłyszano trzask gałęzi i chodzenie dwóch ludzi. Jeden z szukających sarny kłusowników odezwał się do drugiego: „Schowałeś a nie możesz trafić". Kłusownicy nie mogli wskutek ciemności znaleźć upolowanej sarny i po chwili oddalili się w kierunku wsi Lipie. Leśniczy, poleciwszy gajowym dalsze czatowanie przy sarnie do godz 20-ej, a następnie sprzątnięcie tej sarny do gajówki, sam udał się około godz. 18-ej do gajówki Gielniaka. Około g. 20-tej, w myśl polecenia, gajowi odnieśli sarnę do gajówki, poczem leśniczy, pozostawiając gajowego Gielniaka w gajówce, udał się z pozostałymi dwoma gajowymi pod wieś Lipie (w odległości przeszło 1 km.), gdzie miał pełnić czaty jego syn z wezwaną policją z posterunku w Garnku. Leśniczy na powyższej placówce nie zastał ani policji, ani syna. Wobec tego wysłał gajowych po policję do Garnku, sam zaś udał się z powrotem do gajówki Gielniaka. Po drodze, około g. 21-ej, leśniczy zauważył przechodzących w kierunku miejsca ukrycia sarny 3-ch ludzi, między którymi rozpoznał kłusownika Szczepańczyka Jana i Tyrka Stefana ze wsi Lipie (księżyc wtedy był już wysoko). Po chwili leśniczy natknął się na osobnika, idącego w tym samym kierunku, za powyższymi 3-ma, w odległości około 100 m. Osobnika tego leśniczy zatrzymał i pod groźbą użycia broni odprowadził do gajówki, gdzie został on zamknięty. Po przybyciu do gajówki leśniczy natychmiast wysłał gajowego Gielniaka w ślad za 3-ma zauważonymi kłusownikami. Gielniak po chwili powrócił i zameldował, że kłusownicy obdzierają i ćwiartują ubitego jelenia, który leży w odległości około 200 m. od miejsca ukrycia zabitej sarny.

Wobec tego leśniczy wraz z gaj. Gielniakiem udał się do wsi Lipie, gdzie również miała przybyć policja z pozostałymi gajowymi, aby przychwycić powracających ze zdobyczą kłusowników. O g. 24-ej, w miejscu umówionem pod wsią Lipie, spotkał się z policją i gajowymi. Posterunkowi zarządzili obstawienie zagrody Tyrka. Około g. 1-ej w nocy kłusownicy, niosąc jelenia, zbliżyli się do wsi i wysłali na zwiady Stefana Tyrka, który został przychwycony przez policję i gajowych przy wejściu do zagrody. Usłyszawszy ruch we wsi, pozostali kłusownicy uciekli, pozostawiając poćwiartowanego jelenia. Pozostający w domu stary Wawrzyniec Tyrek (ojciec Stefana), zauważywszy że zagroda jest obsadzona, wyrzucił przez drzwi do ogrodu łeb jelenia z rogami, na czem gajowi go przychwycili. Zagroda Tyrka była strzeżona aż do rana i o g. 7-ej dokonano rewizji, przyczem znaleziono flower 6 mm. z drewnianą szyną celowniczą, przytwierdzoną drutami, z którego kłusownicy upolowali jednego dnia sarnę i jelenia. Sarna była zabita jednym strzałem komorowym, jeleń zaś ósmak trafiony również jednym strzałem na komorę, przyczem zostało naruszone serce.

Podobny flowerek został odebrany kłusownikom przez policję i gajowych we wsi Garnek 10-go września b. r. Z takiego samego flowerku został postrzelony przez kłusownika gajowy Gielniak dn. 16 marca 1934 r.

Podając powyższe, jako przykład, niniejszem konstatujemy, jak groźną dla zwierzyny bronią są flowerki w rękach kłusowników. Flowerki te małego kalibru, łatwe do ukrycia i bardzo cicho strzelające, niemniej są bardzo celne i, jak widać z powyższych przykładów, zagrażają nawet grubszej zwierzynie. W okolicznych lasach spotyka się często okulawione sarny i jelenie, okaleczone z powyższych flowerków.

JÓZEF KRACZKIEWICZ.

(—zet—) Leśniczy państwowy, p. Józef Kania, napotkał nocą w lesie w Gorzycach kłusownika, który na jego widok zdołał zbiedz. Oglądając teren spotkania, leśniczy odnalazł porzucone przez kłusownika 13 sztuk sideł, przygotowanych do zastawienia i królika, niezdjętego jeszcze z wnyka. Według informacyj leśniczego, który zjawił się na drugi dzień rano na posterunku p. p. w Gorzycach z doniesieniem, kłusownikiem jest Emil H., na którego spisano protokół.

*

(—zet—) W Hrebenowie, powiatu skolskiego, w lasach bar. Groedlów, gajowy Izydor Hoszko natknął się podczas rannego obchodu rewiru na dwóch kłusowników, którzy polowali na zwierzynę.

Wezwani do zatrzymania się i złożenia broni, kłusownicy wymierzyli do gajowego w zamiarze zastrzelenia go, lecz nie zdążyli wypalić, gdy padł strzał gajowego w obronie własnej. Strzał, jak się zdawało, chybił, gdyż bezpośrednio po nim kłusownicy rzucili się do ucieczki.

Zawiadomiona o przebiegu spotkania policja rozpoczęła poszukiwania za kłusownikami.

*

(—zet—) Leśniczy spółki Gieschego w powiecie rybnickim, Paweł Hrubarz, spotkał na polach spółki znanego kłusownika, Stanisława Lamsznego, podczas uprawiania kłusownictwa.

Wezwany przez leśniczego do zatrzymania się, Lamszny nietylko nie poddał się, lecz raptownie zmierzył z trzymanej broni i dał strzał w kierunku leśniczego. Wówczas napadnięty, występując w obronie własnej, wystrzelił do napastnika z posiadanej przy sobie dubeltówki, raniąc go ciężko w brzuch i pierś.

Lamsznego odwieziono niezwłocznie do szpitala w Żorach, gdzie, nie odzyskawszy przytomności, zmarł. Broń kłusownika była nabita.

*

(—zet—) Na polach majątku Gołuchów, powiatu jarocińskiego, niewykryty sprawca postrzelił z dubeltówki robotnika Antoniego Kowalskiego, który usiłował zatrzymać kłusującego osobnika. Następnego dnia znaleziono przy stercie, obok której miało miejsce spotkanie, ubitego lisa. Za kłusownikiem-bandytą wdrożono poszukiwania.

*

(—zet—) Franciszek Krakowski, gajowy maj. Skępe, powiatu lipnowskiego, w czasie obchodu rewiru leśnego pod wsią Goldy został postrzelony z zasadzki przez nieznanych sprawców, którzy go poważnie zranili. Policja wszczęła energiczne poszukiwania za napastnikami.

*

(—zet—) W dniu 13 listopada r. b., wkrótce po północy, posterunkowi policji państw. z Kobylina, pow. krotoszyńskiego, Borysiak, Pazgrat i Kowal, usłyszeli strzały w miejscowości Starygród na terenie dóbr p. K. Chełkowskiego, w pobliżu dworu. Posterunkowi zaczaili się opodal i wkrótce ujrzeli kilku osobników, którzy zaczęli w ich oczach strzelać do śpiących na drzewach bażantów. W pewnej chwili kłusownicy zauważyli obserwatorów i, nie namyślając się długo, dali w ich kierunku kilka strzałów z dubeltówek. W odpowiedzi na to policjanci otworzyli ogień rewolwerowy na kłusowników. W wyniku strzelaniny został zabity kłusownik Stanisław Szymczak z Wielowsi, natomiast posterunkowy Borysiak został ranny i odwieziony następnie do szpitala w Krotoszynie.

Dochodzenie policyjne ustaliło, że towarzyszami zabitego, którzy zdołali narazie zbiedz, są Stanisław Klęskała i Ciesielski, obaj z Wielowsi. Przy zabitym Szymczaku znaleziono dubeltówkę, a w czasie rewizji w jego domu — rewolwer-browning.

*

(—zet—) Na polach maj. Brynów (woj. śląskie) przytrzymano na kłusownictwie Piotra Stychę, Antoniego Buchtę i Jana Wilka, zamieszkałych w Kochłowicach. Zatrzymanym odebrano flower 6 mm., dwa naboje i ubitego zająca.

*

(—zet—) Pomiędzy miejscowościami Kośmider i Zawask na granicy polsko-niemieckiej został postrzelony kulą z broni myśliwskiej obywatel niemiecki, Teodor Kałuża, przez niemieckiego inspektora lasów, Langisza. Kałuża jest znanym kłusownikiem nadgranicznym i postrzał z ręki rewidującego lasy po stronie niemieckiej Langisza otrzymał podczas przemycania z Pol-

ski do Niemiec upolowanego po naszej stronie jelenia, nie reagując na wezwanie do zatrzymania się. Ranny Kaluża zdołał jeszcze cofnąć się na stronę polską i tu padł martwy w odległości 50 metrów od granicy.

*

(—zet—) Do Sądu Okręgowego w Wadowicach wpłynęła skarga na niejakiego Jakóba Skrudlika, zamieszkałego w Kozach, powiatu bialskiego, za bezprawne polowanie na terenie kółka łowieckiego w Lipniku i upolowanie zająca. Dodano w skardze, że Skrudlik jest zawodowym kłusownikiem, karanym kilkakrotnie za to przestępstwo i że raz, zatrzymany przez gajowego, rzucił się nań, usiłując odebrać mu broń.

Tym razem winna Skrudlikowi przypaść w udziale znacznie surowsza kara.

*

(—zet—) W początku listopada r. b. leśniczy z państwowego leśnictwa wiejkowskiego w powiecie wołkowyskim, p. Ludwik Minakowski był na nocnym obchodzie lasu w towarzystwie gajowych Stefana Mowlika i Aleksandra Pieńkowskiego.

W pewnej chwili usłyszano kilka strzałów, poczem cały patrol ruszył w ich kierunku. Wkrótce Mowlik natknął się na uciekającego z dubeltówką w ręku osobnika i natychmiast rozpoczął za nim pościg, podczas którego padł strzał do Mowlika. Do pościgu przyłączył się także Pieńkowski i obaj zapędzili kłusownika w bagno. Osaczony przez gajowych, wystrzelił raz jeszcze, tym razem do Pieńkowskiego na bardzo bliską metę, lecz strzał nie trafił, bowiem Mowlik zdążył dopaść kłusownika i podbić mu broń wgórę. Nieznajomego ujęto, jakkolwiek bronił się bardzo energicznie przed pojmaniem i podczas utarczki ręcznej skaleczył Mowlika w rękę. Odebrano mu strzelbę i naboje. Wówczas podał swe nazwisko, podając się za Konstantego Kiślaka z Mieleszek, gminy Gródek. Śledztwo ustaliło, że z Kiślakiem polował drugi kłusownik, który zbiegł.

*

(—zet—) W maj. Brzeźno, pow. konińskiego, gajowy Szczepan Kosmulski podczas obchodu rewiru leśnego spotkał dwóch przyczajonych kłusowników, którzy natychmiast po ich odkryciu rzucili się do ucieczki. Kosmulski puścił się za zbiegami w pogoń, strzelając w górę, na postrach, z rewolweru. Wówczas jeden z uciekających zatrzymał się i dał strzał z dubeltówki do gajowego, trafiając go śrutem w prawy bok. Ponieważ strzelającego dzieliła dość znaczna odległość od Kosmulskiego, śruty nie przebiły wierzchniego grubego okrycia, zatrzymując się w jego włóknach.

Dochodzenie ustaliło, że kłusownikami są Jan i Stefan Listopadowie, zamieszkali we wsi Potuszniki, gm. Brzeźno. Przekazano ich władzom sądowym.

*

(—zet—) W szeregu pism wielkopolskich i kujawskich opisywana była w drugiej połowie listopada wstrętna zbrodnia zabójstwa, popełniona na synu leśniczego, p. Stanisława Kurkiewicza z maj. Pawłowice, powiatu leszczyńskiego.

W dniu 14 listopada r. b. gajowy Walenty Świtalski usłyszał tuż przed północą wielokrotne strzały, rozlegające się z rewiru Nowy Dwór. Gajowy natychmiast udał się z meldunkiem do leśniczówki, nie zastał jednak leśniczego, który nie powrócił jeszcze do domu z polowania w okolicy. Syn leśniczego, 20-letni Bernard, praktykant leśny, zastępując ojca, udał się ze Świtalskim w kierunku dochodzących odgłosów strzałów dla przyłapania kłusowników. Spotkanie nastąpiło pomiędzy 12 a 1-szą w nocy, podczas gdy kłusownicy w liczbie kilku (podobno pięciu) wiązali upolowane bażanty. Do podchodzącego ku nim Świtalskiego kłusownicy bez namysłu wystrzelili kilkakrotnie, raniąc go w rękę, poczem gajowy schronił się na drzewo. Wówczas zbrodniarze zasypali strzałami kulowemi Kurkiewicza, raniąc go kilkoma kulami śmiertelnie w okolicę serca i brzuch. Ranny usiłował iść w kierunku domu, lecz wkrótce padł. Gdy Świtalski ujrzał broczącego krwią, nieprzytomnego syna leśniczego, pośpieszył do leśniczówki po furmankę, lecz gdy przyjechał na miejsce krwawej tragedji, zastał już zimne zwłoki.

Po dokonaniu morderstwa i korzystając z tego, że towarzysz rannego zajął się jego losem, zbrodniarze oddalili się przez nikogo nie ścigani. Dopiero dochodzenie policyjne, prowadzone przy pomocy psa, doprowadziło władze do sprawców zbrodni. Narazie podawane są nazwiska tylko dwóch: niejakiego Szczurka i Nawrota. Pojmano jednakże już następnego dnia czterech i przewieziono ich do więzienia w Poznaniu na zarządzenie prokuratora. Do tej pory z pewnością siedzą już wszyscy.

Jak podają gazety, zbrodniarze strzelali do Kurkiewicza i Świtalskiego z parabellum i browningów. Na bażanty mieli z sobą karabinki sportowe „Dziennik Kujawski" pisze, że kłusownikami-zbrodniarzami okazali się podoficerowie 55 p. p. w Lesznie.

*

(—zet—) Podczas obchodu rewiru leśnego pod Mszaną Dolną, pow. limanowskiego, gajowy Andrzej Łabuz spotkał dwóch kłusowników z dubeltówkami w rękach. Łabuz zatrzymał ich i przedewszystkiem przystąpił do wylegitymowania, lecz wówczas jeden z przyłapanych wycelował w gajowego strzelbę. Łabuz, uprzedzając strzał do siebie, wystrzelił do napastnika z rewolweru, raniąc go ciężko. Gdy kłusownik upadł, towarzysz jego rzucił się do ucieczki. Dochodzenie policyjne wykryło, że spotkanymi przez Łabuza są znani notoryczni kłusownicy-procederzyści, Władysław Mucha i Józef Jakóbiak. Rannego Muchę przewieziono do szpitala, Jakóbiaka odstawiono do więzienia.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 12-go i 13-go listopada r. b. odbyło się polowanie na zające tylko w lesie, miotami i ławami, w dobrach Słupskich Macieja ks. Radziwiłła, na którem ubito 662 sztuki, w tem 2 lisy, 1 cietrzewia, 1 bażanta, 1 królika, 12 kuropatw i 6 słonek — reszta zające.

Najwięcej na rozkładzie miał Ludwik hr. Plater — 117 szt.

— W dniu 12.XI. r. b. w Duninowie u Stefanostwa i Karola bar. Ike-Duninowskich, odbyło się polowanie, w którem wzięli udział pp.: Józef Czernicki, Henryk baron Maltzan, Aleksander Płoski, Stanisław Zieliński, Stanisław Grodzicki, Antoni i Andrzej bar. Ike-Duninowscy i gospodarze.

Tym razem słynna z polowań dziczych knieja duninowska miała się popisywać walorami hodowlanemi zwierzyny drobnej. Rezultat był, jak na lokalne warunki, bardzo dobry: 226 zajęcy, 142 bażanty, 125 królików, 1 cietrzew, 2 lisy i kilka kuropatw, łącznie 500 sztuk. Nadmienić trzeba, że bażantarnię założono w roku ubiegłym. Najlepszy pokot miał p. Aleksander Płoski z Sokołowa: 110 sztuk, w czem 40 bażantów i cietrzewia.

— Dnia 11-go i 12-go ub. m. w Probołowicach odbyło się doroczne polowanie, przy udziale 8-miu pierwszego dnia, a 12-tu myśliwych — drugiego dnia. 1-go dnia ubito: 343 zające, 50 bażantów, 30 kuropatw, 5 królików; razem 428 sztuk. 2-go dnia ubito: 317 zajęcy, 55 kuropatw, 5 różnych; razem 377 szt. Łącznie pokot wyniósł 805 sztuk. Najwięcej na rozkładzie mieli pp. Włodzimierz Krzyżanowski 87 szt. i Andrzej Wesołowski 69 szt.

— W majętności księżnej Ksawerowej Druckiej-Lubeckiej, Dłoń (Wlkp.) ubito dn. 15.XI. r. b. w 5 strzelb: 760 bażantów, 54 zające, 5 kuropatw, 2 słonki, 926 królików, 8 różnych; razem 1.755 sztuk. Udział brali pp.: książęta Olgierd Czartoryski i Jan Drucki-Lubecki, ordynat hrabia Zygmunt Skórzewski, hr. Plater i baron Zedlitz. Największą ilość ubili: książę Olgierd i ordynat Skórzewski. Polowaniem kierował leśniczy Jaeschke.

TREŚĆ NUMERU:

Język, czy gwara łowiecka? — *M. K. Pawlikowski.* Za cenę strzelby — *Z. Lipkowska.* Kocioł, pędzenie, czy ława? — *M. Abramowicz.* Władysław Gürtler — *J. Wl. Kobyłański.* Bażantarnie w Łochowie — *inż. H. Kemmer.* Czy wilki są jedyną zwierzyną na kresach — *A. Mniszek.* Ośrodki hodowli łowieckiej na Ziemiach Wschodnich — *L. Pac-Pomarnacki.* Ś. p. Kazimierz Strzemię Wysocki — *A. S.*

Pokaz trofeów łowieckich w Poznaniu. Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Dobre i złe. Odstrzał niedźwiedzi w Karpatach Wschodnich. Co mówi specjalista w tępieniu wilków. Kłusownictwo. Kronika myśliwska.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedynczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8087

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 11